



Nazwa instytucji

Książnica Cieszyńska

Tytuł jednostki/Tytuł publikacji

**Pamiętnik z wojny i niewoli : 1914-1918 / napisał Jan Szuścik
według zapisków codziennych.**

Liczba stron oryginału

236

Liczba plików skanów

236

Liczba plików publikacji

237

Sygnatura/numer zespołu

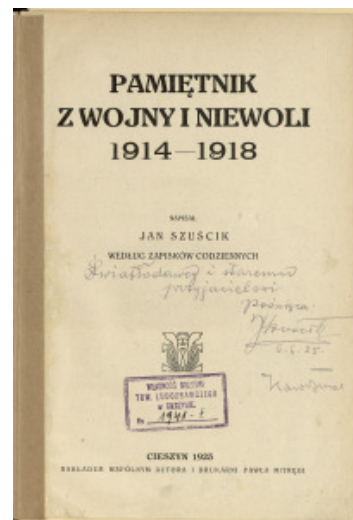
C II 004016

Data wydania oryginału

1925

Zdigitalizowano w ramach projektu pt.

**Udostępnienie cieszyńskiego dziedzictwa
piśmienniczego on-line**



**Fundusze
Europejskie**
Program Regionalny



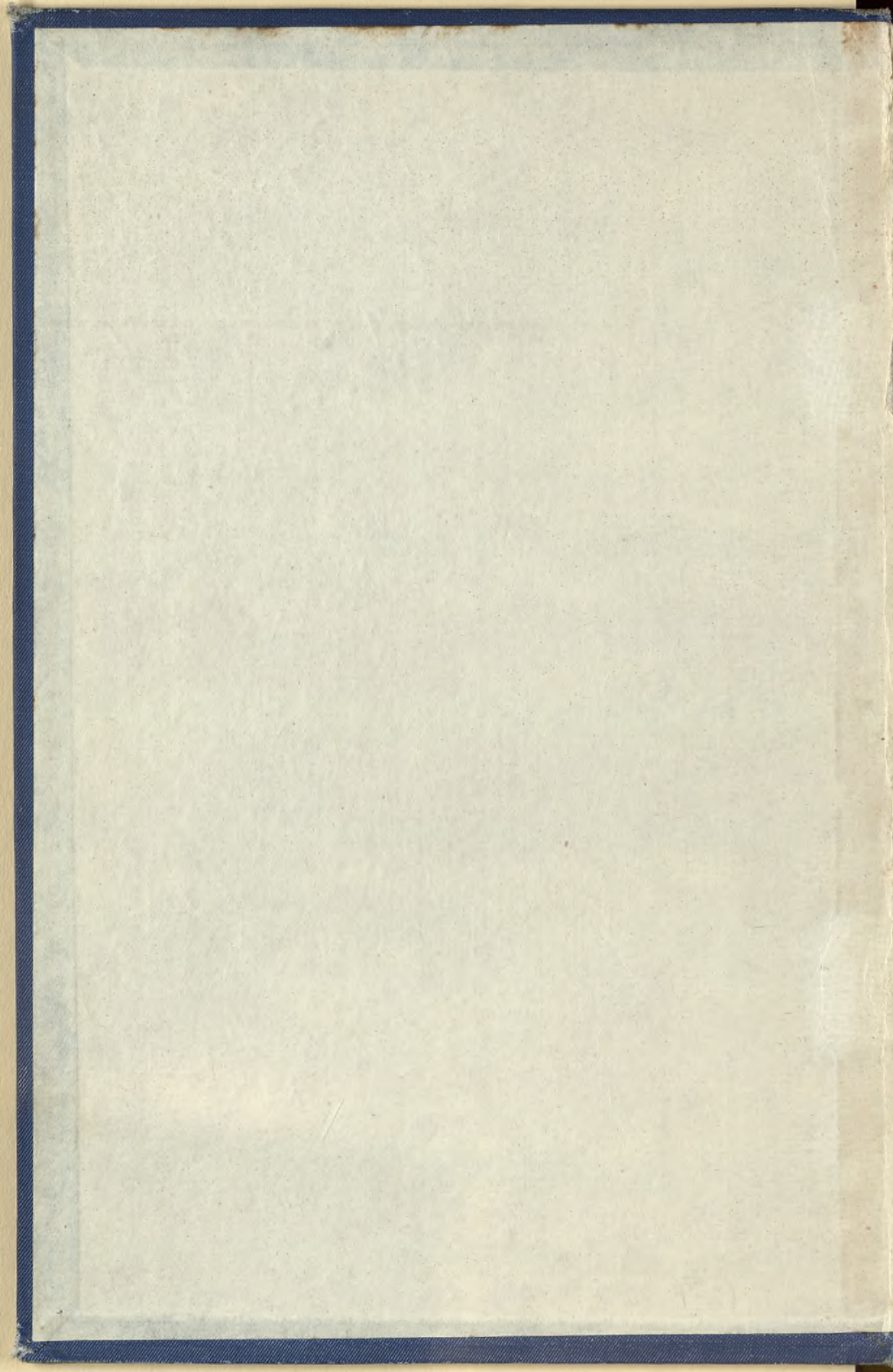
Śląskie.

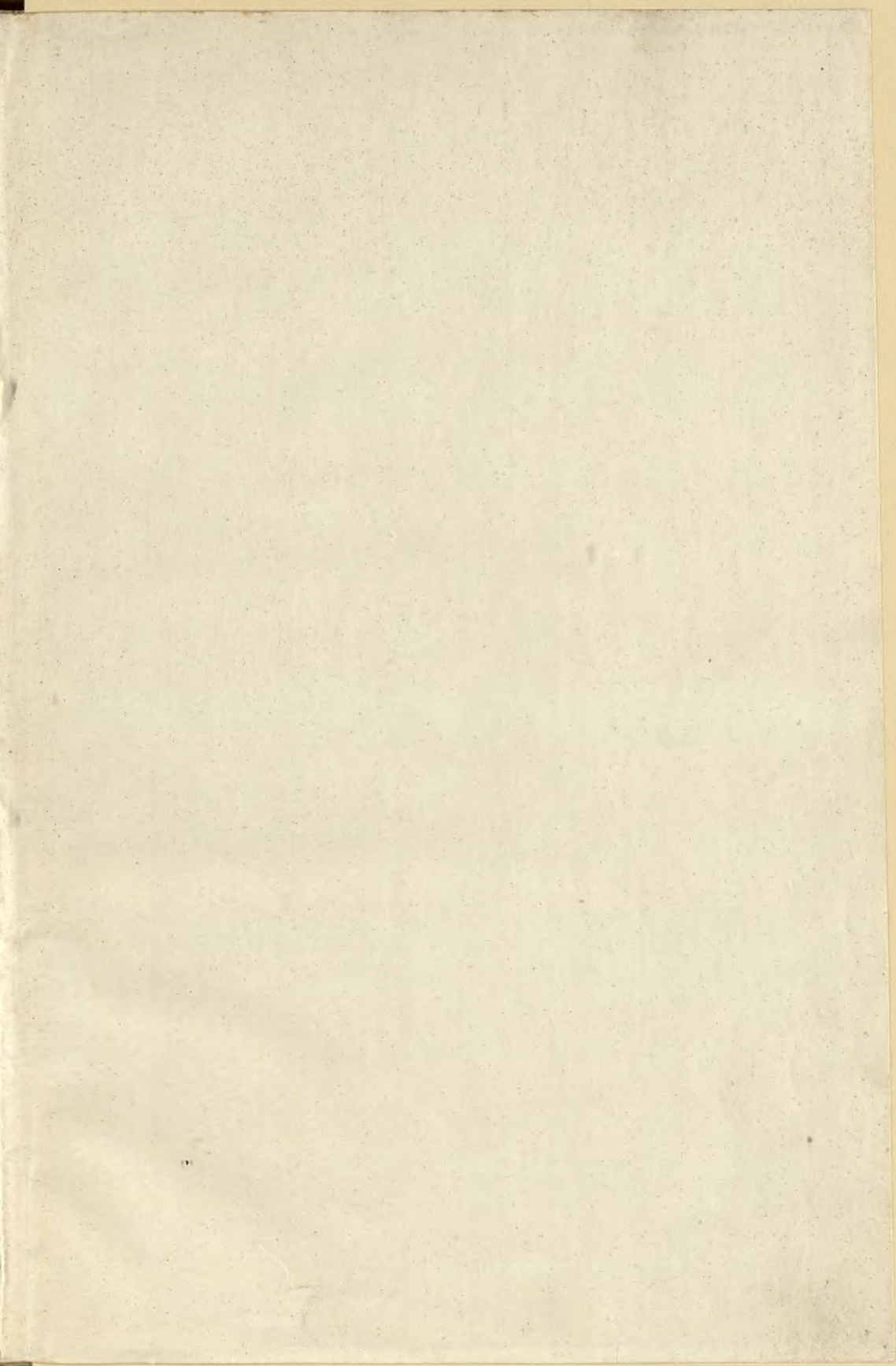
Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego

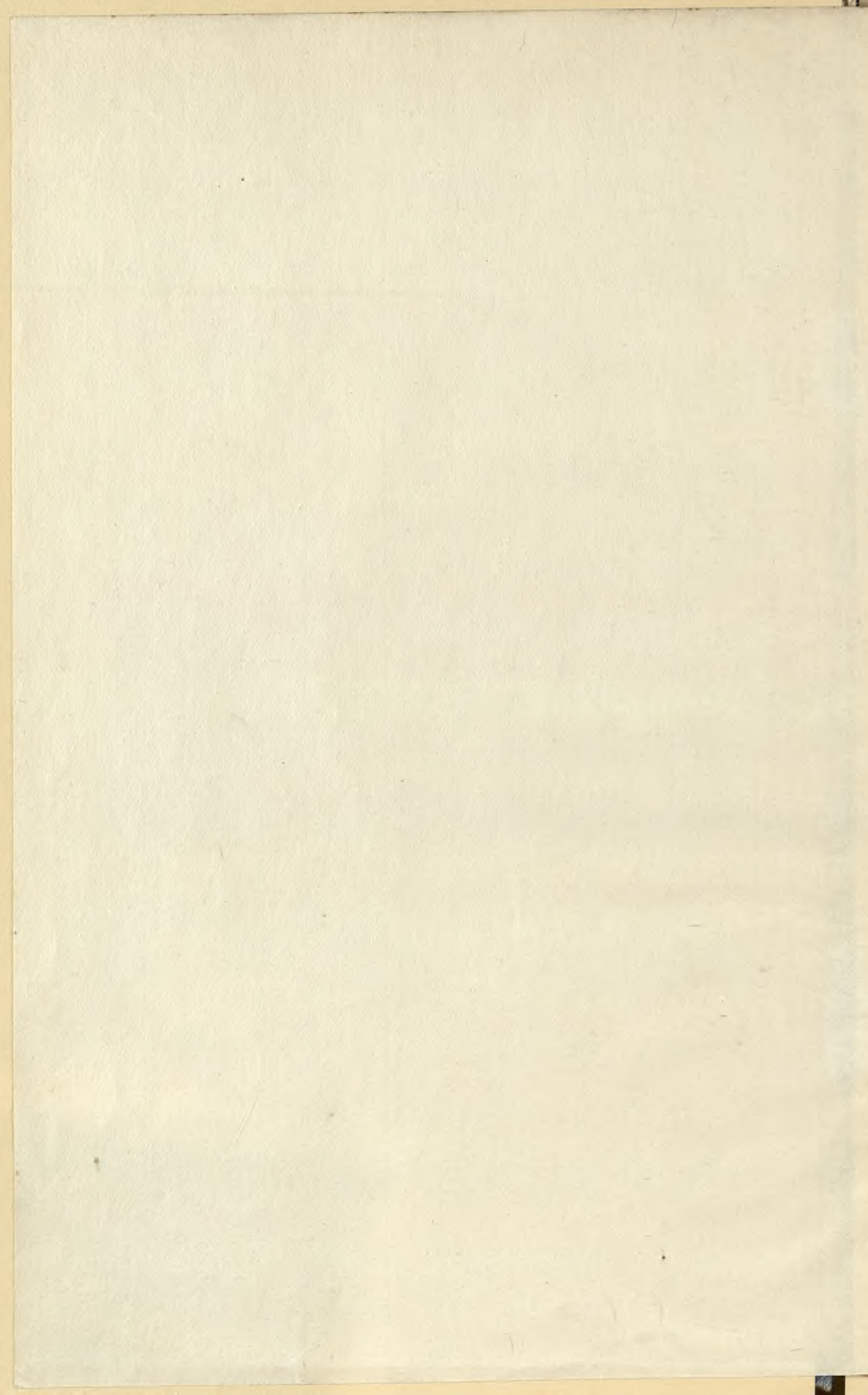


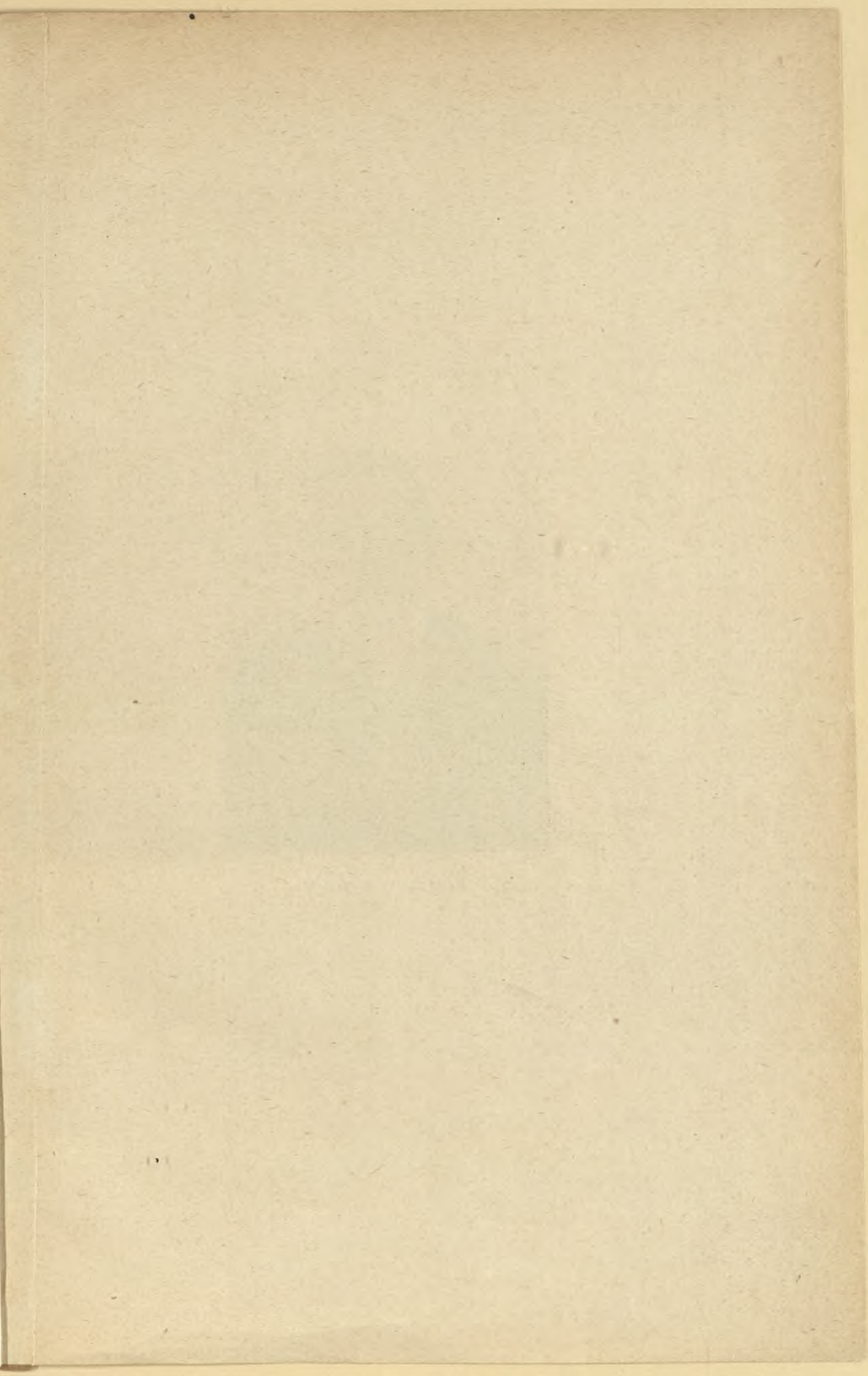
Jan Szuścik

Pamiętnik
z wojny i niewoli









943.8 : 923 24302



PORTRET AUTORA



C.004016 II

PAMIĘTNIK Z WOJNY I NIEWOLI 1914—1918

NAPISAŁ

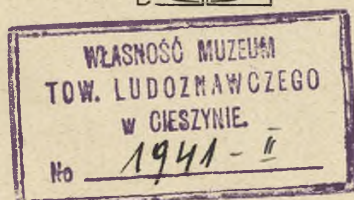
JAN SZUŚCIK

WEDŁUG ZAPISKÓW CODZIENNYCH

*Świątkodawcy i starym
pracycielowi*

pożycza:

J. Szusick
6.6.25.



Karłowice

CIESZYN 1925

NAKŁADEM WSPÓLNYM AUTORA I DUKARNI PAWŁA MITRĘGI

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Cieniom Tych,

*co nie wrócili, co z ran, łez i tęsknoty zdala od swoich
umierali —*

*a **Polski Zmartwychwstałej***

nie widzieli —

poświęca

Autor.

Do Czytelnika.

Dla tych, co w ponure dni jesienne i zimowe czytać lubią, piszę niniejsze wspomnienia w dziesięć lat po wybuchu strasznej wojny światowej. Niejeden przypomni sobie własne przeżycia, koleje, męki i uzupełni skromny mój pamiętnik. Niejeden przechowa te ulotne kartki i zwiąże je w książkę i drugim do czytania poda.

Niechaj niniejsza gawęda zachęci do czytelnictwa zobojętniałe masy ludowe, niechaj dawnym i uświęconym zwyczajem książka zawita pod strzechę i stanie się nieodstępnym doradcą i przyjacielem!

A U T O R.



1. Powołanie i wymarsz w pole.

Tragedja austriackiego następcy tronu i jego małżonki w Serajewie przez lipiec 1914 r. trzymała całą Europę w nerwowem napięciu. Ogólnie przeważało zdanie, że straszna wojna europejska, o której od dwudziestu lat mówiono i pisało — co gorsza — do której się gorączkowo zbrojono, wybuchnie niebawem. Aczkolwiek był to incydent, to jednakowoż śmierć członka domu panującego w Europie — nawskroś monarchicznej. poruszył lawinę z miejsca, która rzeczywiście przeszła przez całą Europę, zdruzgotała trony, zniszczyła dobrobyt materialny, a co najgorsza, podważyła etykę i moralność ludzkości na szereg lat, a może i pokoleń.

Jeszcze przed ogólną mobilizacją powołano mnie dnia 29 lipca 1914 r. do służby wojskowej. Należałem już wprawdzie do obrony krajowej, lecz jakaś „życzliwa“ ręka cofnęła mnie o rok wstecz do służby linjowej.

Dnia 30 pożegnałem kolegów i znajomych w Łazach i wstąpiłem w Cieszynie do 100-go pułku. Na drugi dzień ogłoszono ogólną mobilizację i obszerny manifest cesarski. Byłem właśnie w kawiarni Allnocha, gdy o godzinie drugiej po południu wszczął się popłoch w mieście. Kawiarnia przepełniona w mgnieniu oka opustoszała. Odtąd każdy dzień przynosił nowe wojny i nowych nieprzyjaciół. Cieszyn zamienił się we wielki obóz wojskowy. Przez tydzień pracowałem jako pisarz przy komisji odbiorczej na Strzelnicy. Niewiele badano: prawie wszystko było zdolne do władania bronią. Pamiętam starostę B., który swych synów jeszcze nieletnich przyprowadził do komisji z rycerskim gestem: „Meine zwei Söhne gebe ich dem Vaterlande“. Ojczyznę szlachcica polskiego i urzędnika była wówczas „Austria“.

obfity, że zjedliśmy z żoną i córką. Byłem przygnębiony. Koło godz. drugiej po południu uformował się baon. Przyszła kapela wojskowa, kapelan odbierający przysięgę, zagrano: „Ojczy, ja wzywam Cię“, „hymn ludu“, przemówił major Böhm, podpułkownik Latinik, porucznik Nettwal i wśród głośnego hura szykowano się do pochodu. Moja córka Stenia wręczyła por. Nettwalowi bukiet z prośbą:

„Przyprowadź mi Pan tatusia napowrót!“ — Ucałował ją i zapewnił: „Przyprowadzę tatusia!“ — Umarł biedak w dwa miesiące wskutek trudów wojennych.

Ruszyliśmy z muzyką na dworzec. Główne ulice miasta przystrojone były we flagi. Pełno ludzi, okrzyki pożegnania, kwiaty, papierosy, ciastka, pył i gorąco nieznośne. Cieszyn żegnał serdecznie swoich rodaków, wielu na... zawsze!

Godzina piąta, pociąg rusza. Ostatnie uściski i całusy. Córka mnie żegna: „Jedź z Bogiem tatuśku a wracaj do nas!”

Żegnam Cieszyn, mogiłę ojca, znaną mi okolicę i wioskę rodzinną. Tam na pagórku stoi mateczka, patrzę się, lecz nie płaczę. Po drodze nas goszczą w Skoczowie, Jaworzu i Bielsku. We wagonie ścisk, słychać swawolne śpiewki. Rano jesteśmy w Podgórzu, wieczór w Tarnowie. — Pociąg snuje się powoli, nigdzie nie widać pośpiechu, tak, jakby wojna była het, za górami. U Leszczyńskiego wypraszają nas oficerowie, aleśmy się nie dali; piwo znakomite!

Następny dzień zbiera się cała brygada w Mielcu i rusza do Ceranki. Nocuję w stodole. Z małą Zośką zamieniam keksy na mleko. Rozpoczyna się życie wojenne: ćwiczenia, straż polowe i pierwsza bitwa — ze swoimi! Noc z 17 na 18 sierpnia była w wypadki brzemienna. W rozkazie dnia powiedziano: Nieprzyjacielska dywizja kawalerji (Kozacy) przerwała front i znajduje się na tyłach. Brygada ma wstrzymać i odeprzeć nieprzyjaciela. Była to tylko suppozycja, ażeby zatrudnić brygadę i odpowiednio rozstawić. Żołnierze zdenerwowani w nocy ciemnej oczekiwali rzeczywiście Kozaków. Jakiś gorączka na straży polowej wystrzelił, za nim cała straż dała ognia, dalej straż sąsiednia i niebawem cała brygada znalazła się w ogniu. Na szczęście zastrzelono tylko chłopską szkapinę, która się w nocy pasła na polu.

Dzień następny, urodziny F. J. I. — ćwiczano i obcho-

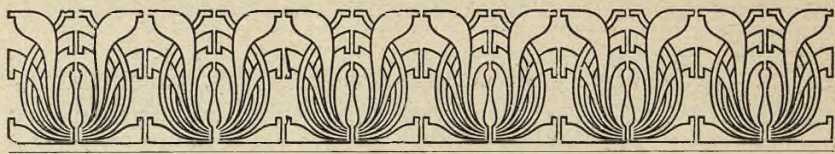
dzono uroczyście. Tumaniono nas oficjalnie, że Kragujewac, twierdza serbska, padła. — Zdobyto ją dopiero rok później.

Ruszamy na Padew Narodową, Baranów (koło Sandomierza), Tarnobrzeg i Dzików. Dnia 21 stoimy we Wrzawach nad Sanem, obserwujemy zaćmienie słońca. W oddali słysząc huk armat, spotykamy pierwszych rannych. Przekraczamy San, widzimy pierwszy Zeppelin. Mijamy Chwałowice, przez Kozaków spalone i pod Annapolem 23 września jako rezerwa odbieramy chrzest ogniowy. Na szczęście szrapnele padały daleko i nikt szwanku nie poniósł. Wykąpaliśmy się w potoku, któryśmy w bród przeszli i skończyło się na strachu. Mijamy Annapol; widzimy trupy kozackie i końskie. Dzień następny spokojny i skwarny. Maszerujemy piaskami nadwiślańskimi, wody brak. Pierwszy raz padam pod ciężarem bagażu i trudów. Straszą mnie Kozakami, idę z kol. L. powoli do Dębника, gdzie znachodzę pułk.

W noc następną otoczyli nas Moskale. Wyrwamy z powrotem na Marjampol, który dzień przedtem mineliśmy. Wczesnym rankiem byłem we wsi zakupić mleka i sera. Gdy chciałem płacić, gospoia młoda i przystojna, wybuchła płaczem i mówi: „Pieniedzy od pana nie chcę, ale niechże pan męża mojego nie zabije!“ Było to śmieszne i tragiczne razem.

Mieliśmy w kompanji wesołka Kuczere. Był to górnik z Westfalji, który w każdej sytuacji się znalazł i czasem bardzo dobre żarty stroił. W Cieszynie zjawił się w gimnazjum Albrechta kiedyś o północy, gdy wszyscy już spali gęsto na podłodze, zarzuconej słomą. Począł wygadywać i besztać: „Jo tu z Westfalje przychodzę cysarza bronić, a wy gałgany nie macie miejsca dla mnie? — Mówię wam, zróbcie miejsce po dobroci. Jo jest Kuczera, swobodnej matki syn ze Żukowa“. Gdy się nikt nie usuwał, pomysłowy Kuczera wylał całą putnię wody na śpiących. Było ciemno, powstał harmider, ludzie się pozrywali, a Kuczera położył się tymczasem spokojnie na opróżnione miejsce i spał do rana. Dopiero na drugi dzień gościa poznano i wyszturkano.

Przechodzimy przez wieś polską. Kobiety stoją, zalamują ręce i dziwią się, że tak dużo tego siwego żołnierza. Kuczera zagaduje: „Matko, macie syna na wojnie?“ „A już cić, że mom!“ — „Dejcie pięć rubli, jo mu je zaniesę!“ Na ów żart często kobiety się zrywały i chciały mu rzeczywi-



2. Opole.

Po tych nieudanych próbach bohaterstwa naszego przyszła kolej na rzeczywistą bitwę pod Opolem. W niedzielę, dnia 30 sierpnia dzionek był śliczny, wymarzony. Wyruszyliśmy wcześniej z Józefowa przez Wrzelowiec i około 9 godz. stanęliśmy na wzgórzu. Pod nami w kotlinie leżało miasteczko Opole, zajęte przez piechotę rosyjską, ponad niem na wzgórzach o jakie ośm km od nas stała artylerja rosyjska, prażąc nas leniwym ogniem. Ogień naszej artylerji nie dosięgał pozycji rosyjskich. Przybliżyliśmy się bez wystrzału do miasta i stanęli koło chmielnika. Obiad rozdano w spokoju. Węgrzy zrabowali sklep ludowy w mieście i musieliśmy ich bagnętami rozpędzać. Do godz. 2 pop. było cicho. Kozacy urządzili za miastem zasadzkę i zwabili nas strzelaniną. Nasi niedoświadczeni wodzowie pośpieszyli się zanadto i omal, że nie przypłacili tego klęską.

O jakie dwa km od miasta rozwinął się baon nasz do boju. Zagrzmiała artylerja. Poczęły się sypać szrapnele, a przyznać trzeba, że Moskale nie szczędzili amunicji. Niebawem weszliśmy z piechotą w kontakt i stanęliśmy w ogniu karabinów maszynowych. Nie zabrakło także ataku Kozaków. To poczwórne działanie różnych gatunków broni porządnie szarpnęło naszymi nerwami, tembardziej, że była to pierwsza potyczka z nieprzyjacielem w otwartem polu. Dzięki przezorności majora Böhma straty były niewielkie. Trzymaliśmy się przeszło trzy godziny, dopóki pospolite ruszenie nie obeszło artylerji rosyjskiej, zmuszając ją do cofnięcia się. Nasza artylerja złożona z dwóch armat starej daty ugrzęzła na bagnistej łące, nie oddawszy strzału. Gorzej powiodło się naszemu trenowi, który został zupełnie rozbity przez artylerję. Podczas ucieczki przez miasto przebrani żołnierze Mo-



Atak piechoty w lesie.

skale ostrzeliwali treny. Wyłapano ich coś 60 i oddano pod sąd. Po ukończonej bitwie zabraliśmy zabitych i rannych, wyciągnęli samociąg nasze armaty z błota i zawrócili do Wrzelowca. Po drodze oglądaliśmy nasz rozbity tren.

Nie zawsze dobrze jest na tyłach, czasem i te porządnie oberwą. Widzieliśmy zabite konie, rozbite furgony; trupy były już sprzątnięte. W rowach, po polach leżały worki porzucone, wiatr sobie igrał z pocztą polową; listy, przekazy i paczki leżały rozrzucone. Niejeden adresat zginął lub odniósł rany; dostało się innym. Dowiedzieliśmy się ze zdumieniem od naszego majora o zwycięstwie, jakie nas do prawdy spotkało.

Wrażenie pierwszej bitwy jest wstrząsające. Człowiek poprostu się dziwi, że na te setki pocisków, które padają, pozostaje przy życiu i zdrowiu. Straszne jest działanie karabinów maszynowych, tem straszniejsze było w początkach wojny, która była wojną manewrową, gdzie rzadko stosowano okopy, natomiast z wielką brawurą nacierano na przeciwnika. Moskale mieli za sobą doświadczenie z wojny japońskiej, a nam porządną dawali szkołę. Byłem poprostu oszołomiony. Kolega K., zapytany o wrażenie z pierwszej bitwy, powiedział: „Ich habe das Denken verlernt; es ist was Schreckliches!“ *)

Człowiek oswaja się jednak ze wszystkim powoli. Dobrze, że nie wie dnia naprzód, ani godziny, bo niejeden bohater światowej wojny, gdyby tylko przeczuwał, jakie trudy i bólesci go czekają, straciłby odwagę do życia, a tak się pociesza z dnia na dzień, że kiedyś będzie lepiej i że się to raz skończy.

Spałem pod płótem przy drodze, ale spałem po królewsku. Całą noc jechały furgony tam i z powrotem, a mnie się śniło, że jestem gdzieś na hucznej zabawie wiejskiej.

Rano pogrzebaliśmy poległych i ruszyli przez Chodel ku Raciszynu. Tutaj na cmentarzu spoczywał już podpułk. Hildebrand, komendant cieszyńskiego baonu 100 p., poległy dzień temu. Kościół był zamknięty, bo miejscowego probo-

*) Mimo wszystkiego front rosyjski uważano za wypoczynek dla żołnierzy, a prawdziwe piekło było we Francji i Włoszech, gdzie z biegiem czasu wprowadzono nowe gatunki broni, jak granaty ręczne, miotacze min, bomby z aeroplanów, ogniomiotacze i duszące gazy.



3. Pod Lublinem.

Pułk był zupełnie zdemoralizowany niepowodzeniami ostatnich dni i wyższością techniczną oraz taktyczną nieprzyjaciela. Tutaj rozpoczęło się życie w okopach, których budowano całe szeregi i które bezustannie pogłębiano. Artylerja rosyjska strzelała w dzień bez ustanku, naszej zabrakło amunicji. Byliśmy jakich 80 km od najbliższej stacji kolejowej oddaleni, a wszystkie prawie treny ugrzęzły w piaskach bezdrożnych. Przez dziewięć dni utrzymaliśmy stanowiska pod Lublinem. Były różne momenty: dodatnie i ujemne. Na ogół nie mogliśmy sprostać materialnej przemocy wojsk rosyjskich. Brakowało nam średniej i ciężkiej artylerji, a ta wysługiwała się Niemcom w Belgji. Broniliśmy się z rozpaczą, a 6 września przypuściliśmy nocny atak całej dywizji na linje rosyjskie, ażeby wyprzedzić planowany szturm Moskali. Trzy pułki (100, 57 i 20) zepchano w przednie okopy razem, trębaczy wystawiono na czoło i przy trąbieniu szturm i krzyku „hura“ — cała dywizja podzielona na stada ruszyła naprzód. Szturm miał powodzenie przez jakie dwie godziny, aż dotarł do warownych pozycji rosyjskiej artylerji, później załamał się i zawrócił koło południa do okopów. Jedna trzecia dywizji przepadła w zabitych, rannych i zaginionych.

Co za straszna rzecz taki atak nocny, szczególnie gdy walczyć przychodzi w gęstym lesie na białą broń! Serce się ściska, ręce trzymają kurczowo karabin i w zgiełku ogólnym nie rozróżnia się wcale, czy Moskal, czy swój! — Strzela się do każdego cienia, który się spotyka, unikając spotkania na bagnety. Przez pięć godzin siedziałem w tem piekle, idąc raz naprzód, drugi raz w tył. Nabraliśmy sporo jeńców rosyjskich.

Jeden epizod głęboko zarył się w mej pamięci. Jakiś oficer z 20 pułku wysłał mnie z trzema żołnierzami dla przeszkolenia chaty stojącej samotnie koło lasu. Zbliżyliśmy się, a tu sypie się salwa z karabinu maszynowego do nas z poza wągła na odległość może dwustu kroków. Padamy plackiem na ziemię i czekamy chwilę. Moskale umykają. Idziemy naprzód. Stawiam dwóch żołnierzy przed oknem i drzwiami, sam z jednym odchylam drzwi i wchodzę ostrożnie do sieni. Pokój pierwszy otwarty, okno wybite. Wstępuję, patrzę, księżyc prawie w pełni oświeca część pokoju. Coś leży na ziemi, przystępuję, a tu trup jakiegoś honweda z rozwartymi powiekami na mnie patrzy. Coś mnie przeszło od stóp do głowy.

Cofam się do sieni, słyszę jakiś podejrzany szmer w drugim pokoju. Ściskam kurczowo karabin i krzyczę: „Kto tu? Odezwać się! Strzelam!” Coś szepce, rusza się, nareszcie słyszę głos i akcent dziwny: „Nie strielaj — to swoi!” — Zdębiałem i ostatni włos stanął mi na głowie, tembardziej, że dwaj moi druhowie z przed sieni chyłkiem się ulotnili, a ostatni towarzysz skrył się za moje plecy, dygocąc jak w febrze. Coś mnie dusiło, ale przecież wykrztusiłem: „Broń rzucić do sieni, nie ruszać się!” — Rzucili dwa karabiny i odezwał się głos polski: „Panie, nie strzelaj, my tutaj katolicy i Polacy z Krasnostawskiego pułku”. Nie bacząc na porzucone karabiny, cofnąłem się do pokoju pierwszego i nakazałem wychodzić przed sieni. Wyszło trzech: podoficer Polak, bywalec z japońskiej wojny, jeden Moskal i jeden żyd, ten, co to mówił „swoi”. Rzeczywiście: sami Polacy i katolicy!

Odprowadziłem ich do oficera; było tam jeńców już ze siedemdziesiąt. Los szczęśliwy pozwolił mi wydostać się z tego straszego piekła, posłano mnie jako konwojenta z jeńcami do dywizji.

Było jeszcze ciemno, powoli dniało. Jeńcy byli kontentni, że się dla nich wojna zakończyła; rozmawiali i dopytywali się. Mój podoficer opowiadał o japońskiej wojnie i o tem, jak dzisiejszą niewolę wymodlił: „Od wieczora czekaliśmy w chacie, bośmy wiedzieli, że w nocy przyjdziecie. Modliłem się cały czas, żebym się dostał w ręce rodaka — i wymodliłem.”

rzysz ranny 23 października, dostał się dopiero w tydzień później do rosyjskiej niewoli.

Miał jedenaście ran, a z tego siedm przestrałów od szrapneli. Mówił, że się mu zaćmiło w oczach i stracił przytomność na dni siedm. Wyleczył się, żyje i pracuje do dziś dnia na roli w G.

Inny towarzysz zaginął w pierwszej bitwie przy taborach. Byli tacy, którzy go pono widzieli jeszcze tydzień później pod Lublinem, chociaż wieść o nim zupełnie zaginęła. — To, co żołnierz bezpośrednio po bitwie opowiada, jest mało wiarygodne. Stan jego psychiczny jest tego rodzaju, że fantazja gorączkowo pracuje, a ponieważ podczas bitwy żołnierz jest do żołnierza podobny, często bierze przygody jednego za przygody innego. Człowiek, który z piekła wylazł, lubi opowiadać, a mało się troszczy o to, czy fakta odpowiadają prawdzie.

Popołudnie 6 września minęło spokojnie. Obie strony odpoczywały po robocie nocnej. Słońce pięknie przyświecało, żołnierze wylegli z okopów, czyścili broń, pisali listy, czytali gazety i wesoło gwarzyli. Natomiast 7 września był huczny i burzliwy. Moskale wystrzelali kilka wagonów granatów i szrapneli z bardzo małym skutkiem; myśmy tymczasem siedzieli w okopach jak myszy ukryte. Wypadków śmierci i porażeń było mało. Kolega Sz. oberwał przez stopę i strasznie jęczał. Zaniósłem go do miejsca opatrunków i nakarmiłem. Błogosławił mi na dalszą drogę. Kolega H. ze łzami opowiadał, jak granat o pół metra przed nim zarył się, nie eksplodując. Humor mnie rzadko opuszczał, mogłem się nim dzielić z innymi.

Z wieczora 8 września przypuścili Moskale szturm, który trwał trzy godziny. Byłem w odwodzie i przez okopy donosiłem amunicję. Szturm odparto. Dzień następny był dniem sądnym. Od rana prażyli nas Moskale piekielnym ogniem artylerji i karabinów maszynowych. Pozycję naszej artylerji wykryli i zasypali ją granatami, tak że się odezwać nie mogła. Na prawo pułk 56 nie wytrzymał huraganowego ognia i cofnął się w popłochu. Powstała luka, którą Moskale zapelnili uderzając z boków na sąsiednie formacje. Front się zachwiał. Popołudniu nakazano odwrót. Mój baon szedł na czele i przygotowywał okopy dla cofających się wojsk. Mo-



Artylerja podczas odwrotu z pod Lublina.



4. Nad Sanem.

Pułk okopał się w wale ochronnym na lewym brzegu Sanu. W pobliskiej chacie zakupiłem miarkę pszenicy, zmieliłem i upiekłem placek. Koledzy chcieli mnie zjeść razem z plackiem. Mój przykład był zaraźliwy. Wszyscy skupywali pszenicę, żarna były dzień i noc w ruchu, żołnierz począł się odżywiać sam. Ten kupi kurę, tamten gęś, inny wieprzka, a nawet i cielę. Ludzie zjadają trzy razy więcej aniżeli normalnie i chcą dni głodu powetować; jedzą zębami, rękami i... oczami; co kto widzi, chciałby zjeść... Deszcz leje jak najęty, w okopach wody pełno, brodzi się po kostki i pełni służbę. Nad ranem, gdy bezwład nogi poderwał, kładzie się człowiek jak nieboskie stworzenie do kałuży i zasypia.

Szukają wywiadowców — szpiegów, którzyby wybadali położenie u przeciwnika. Głosimy się z kol. L., ale niebardzo nam ufają; zresztą wypadki najbliższych dni wyjaśniły dostatecznie rozmieszczenie sił przeciwnika.

Moskale usadowili się na prawym brzegu Sanu jakie 500 kroków od nas. Niektórzy wyłazili na drzewa i urządzali sobie sport. Co który z nas głowę wychylił z okopu, — bac, — albo obok, albo w głowę dostaje. Tak zginął dzielny nasz plutonowy Kral, werkmistrz z Witkowic, chluba wiedzy i praktyki podoficerskiej. Człowiek starszy, Czech, a dziwnie zamiłowany w rzemiośle wojennym. Chciał wybadać gniazdo rozbójników i lornetkował rozłożyste topole na przeciwnym brzegu. Niedługo się nacieszył, bo dostał w czoło, a przez wyrwę w tyle głowy wypłynął mózg. Skorzystał z tej katastrofy kol. L., bo oddziedziczył jego płaszcz i cały adjusterunek. Bywają na wojnie czasem rzeczy komiczne, podobne do moich dwóch „lewych“ butów.

Było to gdzieś koło Urzędowa. Przystanęliśmy na chwilę w pewnej wsi. Kol. L. zrzucił rysztunek i poszedł do przydrożnej chatki, ażeby u chłopą kupić mleka. Tymczasem gdzieś w pobliżu pękł szrapnel i pułk zaraz w nogi. Cały rysztunek został na drodze; pewnie go jakiś furgon zabrał. L. zupełnie goły wypadł z chaty, bez karabinu, płaszcza i tornistru dopadł kompanję. Nie powtórzę, co mu komendant kompanji na to powiedział..., karabin jakiś zardzewiały otrzymał, ale na tornister i płaszcz czekać musia kilka dni, aż Moskale śp. Krala ubili.

Noc z 14 na 15 IX. była dla nas krytyczną. Coś Moskale szelmy niedobrego planowali. Patrol nasz przyniósł wieczorem wiadomość, że naprzeciw 56 p. Moskale budują most. Wysłano mnie wraz z dwoma innymi z tą wiadomością do 56 p. Było ciemno, deszczowo i błota co niemiara. Meldunek oddałem, lecz doznałem dziwnego rozczarowania. Młody jakiś porucznik, wiceadjutant pułkownika, mieszkający w dobrze umocnionej norze, wrytej do wału i oświetlonej świecą (była to kancelarja pułkowa 56 p.) począł się ze mną kłócić, twierdząc, że most budują Moskale naprzeciw 100 pułku. Ja mostu nie widziałem, więc nie mogłem się opierać. Wziąłem więc raport od tego młodzika i zaniósłem komendantowi naszego baonu.

Dopiero się wściekał i gnał mnie po raz drugi do 56 p., twierdząc ponownie, że most ten do jego „parafji“ nie należy. O co im właściwie chodziło, że każdy z nich wypierał się tego mostu? Rzecz prosta, że przedewszystkiem ten pułk, naprzeciw którego przeprawę przygotowano, obowiązany był przeprawie przeszkodzić. Do tego było trzeba odwagi i ofiary, bo nieprzyjaciół budując most, dobrze chyba swą robotę zabezpieczył. Wyprawa w porze nocnej musiała pochłonać ofiary, a do tego nie byli zdolni przeciętni oficerowie austriaccy. Woleli żyć dla Austrii, aniżeli umierać. Przypomina się ówczesna karykatura ze „Simplicissimusa“, w której żołnierza austriackiego malowano z głową lwa, ofiera z głową osła, a jenerała... bez głowy.

Kłóciły się dwa „sztablery“ pułkowe, tymczasem Moskale bez przeszkody most wybudowali i znaczną część wojska podczas nocy przeprawili. Chyba Moskale wiedzieli, co w języku służbowym armji austriackiej nazywało się „szwin-

del". Może dlatego prawie na granicy styczności dwóch pułków budowali most, żeby niczyjej ambicji nie drażnił. Ta lekkomyślność pomściła się srogo na całej dywizji dnia 15 września.

Dzień 15 września był wyjątkowo pogodny i nowa otucha wstąpiła w żołnierzy. Od samego rana na lewo od nas, a więc w rejonie 56 p. wrzała gorąca walka piechoty, posiłkowana z obu stron artylerją. Koło południa przycichła, lecz zaraz po południu zawrzała na nowo. Ogień artylerji rosyjskiej koło godz. 3 miał szalone napięcie, grzechot karabinów i karabinów maszynowych wzmagał się coraz to bardziej; — 56 p. wyrzucony z okopów razem z 20 p. walczyły już w otwartem polu, cofając się przed nacierającym przeciwnikiem. Pułk 100 wyruszył na pomoc. Zapóźno! Chwieja się 56 i 20 p., uciekają i nas z sobą porywają.

Godzina 5 — wszystko ucieka, cała dywizja w panicznym strachu zmyka na zachód, artylerja rosyjska wali w czambuł z podwójną zaciekłością, niebo rwie się od szrapneli, — a karabiny maszynowe siekają z prawego skrzydła. Ryk ludzi, trzask pocisków... dantejskie piekło! Każdy myśli o sobie i w trwodze śmiertelnej biegnie co siła, lecz szrapnele dobrze kierowane tam uderzają, gdzie większe skłębienia. Żołnierze rzucają tornistry, karabiny i szable. Furgony tłoczą się, mieszają się z artylerją i furmanką cywilną; wszystko ucieka do lasu, który od Majdanu Zbydniewskiego ciągnie się jakich 15 km na południe i zachód. I w lesie ścigają nas pociski, jeszcze jakich pięć km, łamia konary, zawalają drogę.

Człowiek się wielu rzeczy uczy na wojnie. Nawet ucieczka szczęśliwa należy do sztuki wojennej. Chwalono przecież generała Dankła, że po mistrzowsku „wyrwał“ z pod Lublina; i ja mogę się pochwalić, że szczęśliwie uciekłem z nad Sanu.

Dopiero w lesie powoli ochłonałem i zwolniłem biegu. Tornister i karabin zachowałem, chociaż mi się dały porządnie we znaki. Dobiegali mnie znajomi i koledzy i powoli stałem się ośrodkiem nowej jednostki bojowej. Zebrało się nas siedmiu: L., B., G., K., M i Zbořil, Czech, fiakier z Olomouci, który nas dogonił konno. Była to figura mało rycerska, ale natomiast zapobiegliwa i do miski nadzwyczaj popędliwa. Nazywaliśmy go: „sakra, Jezusz, Marja“, bo od tego zaczynał



5. Nad Wisłoką i Wisłą *).

Mój komendant Trčka nie grzeszył zbytnią odwagą i zmykał czempredzej; zapomniał tylko, dokąd pułk się wycofał. Może jakie cztery kilometry za przeprawą przechodziliśmy koło leśniczówki, gdzieśmy na chwilę odpoczęli.

Straszną ulewą zamieniła drogi w istne morze błotne, po którym posuwały się oddziały nasze, uchodzące pod naporem nieprzyjaciela. Stanęliśmy nad Wisłoką o pół godziny drogi poniżej Mielca dnia 20 września wczesnym rankiem. Pułk nasz, względnie nasza kompanja tworzyła straż tylną naszego odwrotu, który odbywał się w porządku. Począwszy od Chorzelowa aż do Mielca, tuż za strażą tylną, obiegały wkoło patrole kozackie, ostrzeliwując nas i maroderów ze znacznej odległości.

Tylna straż stanęła u przeprawy nad rzeką Wisłoką. Most kołysał się pod ciężarem przechodzących wojsk; wszędzie było widać pośpiech. Fala wojska przerwała się na chwilę. Zajechał jakiś oficer i polecił straży tylnej, by przy moście wytrzymała tak długo, dopóki nie nadejdzie bataljon 56 pułku, pozostający gdzieś w tyle. Słota była straszną. Nieba nie szczędziły dżdżu, rozrzedzając błoto na drogach i ścieżkach. Zajęliśmy miejsce obserwacyjne za wałem ochronnym rzeki. Bataljon 56 p. jakby na złość nie przychodził, natomiast na drodze mieleckiej pokazały się drobne oddziały węgierskiego pospolitego ruszenia. Skoro bliżej nadeszły, okazało się, że są to niedobitki 18 p. węg. posp. ruszenia, które bez komendy i ładu za popędem li tylko własnego trybu samozachowaw-

*) Rozdział niniejszy przerobiłem według noweli napisanej przeze mnie na Sybirze w r. 1915. Przepisał ją i przywiózł do kraju kol. Popiel.

zahuczały działa z poza rzeki. Była to odprawa Moskali dana odstępującym wojskom. Strzały padały daleko za odstępującymi.

Z naszej strony ozwały się haubice. W zamian za kano-nadę nieprzyjaciela nasi zawzięcie bombardowali Mielec. Biedne miasto! Biedna ludność!

—————:—:—————

Rankiem 25 IX. nakazano odwrót w kierunku Dąbrowy. Moskałe sypnęli trochę szrapnelami, ażeby tempo odwrotu przyspieszyć. Dnia następnego w Miechowicach Małych przyłączono do pułku drugi bataljon terytorjalny z Cieszyna, który cofnął się z pod Sieniawy. Spotkałem kolegów H., K., M. i S. Z pod Lublina wracał pułk pod komendą majora Böhma, obecnie objął komendę podpułkownik Latinik.

Dnia 27 września przekroczyliśmy koło Opatowa i Mi-strzowic Wisłę i wkroczyliśmy ponownie na terytorjum Kongresówki. Koło Wielkich Miechowic natknęliśmy się na pierwszy pułk strzelców polskich. Spotkałem dra. Kunickiego i serdecznie uściskałem jego dłoń.

Cóż to za młodzież, która rzuciła szkoły, rodziców, poświęciła, przyszłość swą i życie — dla idei wprawdzie starej, lecz niewdzięcznej? Gdy wspomnę na te twarze dziecinne, pobladłe, przemęczone, a przecież zuchowate i dziarskie, to przez myśl moją przesuwają się obrazy chwały, łez i niedoli! Marengo, Somo Sierra, San Domingo... Berezyna; przypominam sobie niechęć naszych oficerów, a nawet i żołnierzy do tego skromnego i ofiarnego czynu zbrojnego. Przychodzili do nas po chleb, bo sami nie mieli, a rekwirować im nie było wolno. Byli tacy między nami, co się dzielili z nimi ostatnią kromką, lecz więcej było słów goryczy i pogardy.

„Takich, co sami na wojnę idą, pod płotem trzeba wystrzelać; ja, gdybym nie musiał“... oto głos nieuświadomionego materialisty.

„Keine Verbrüderung mit dieser Bande, das ist ja kein Militär“, odzywa się jakiś półpijany oficer i odpędza nas od legionistów.

„Czy panowie legjoniści znacie rozkaz gen. Dankla o zakazie rekwizycji?“ — wtrąca jakiś sztabowiec.

6. Pod Dęblinem.

Wojna jest największem bezprawiem i nieszczęściem ludzkości, a kto jej służy, nie dozna w życiu ni spokoju, ni szczęścia, ni wewnętrznego zadowolenia.

Znana pacyfistka, autorka epokowych dzieł: „Precz z orężem“ i „Dzieci Marty“, baronowa Berta Suttner tak opisuje wojnę: „Wojna! — Ile razy o niej pomyślę, to zdaje mi się, że to korowód czarownic i jakaś pozostałość inkwizycji. Wojna to znaczy bić się, — a bić się, to znaczy dławić, mordować. W wojnie mord przestaje być morderem i zwie się samoobroną, rabunek przestaje być rabunkiem, a jest tylko rekwirowaniem prowiantu, wsie w ogniu nie są nieszczęściem pożaru, ale zdobytą pozycją. Wszystkie przepisy prawa, wszystkie nauki zaczerpnięte z katechizmu, cała moralność nie znaczy wtedy nic, dopóki nie rozegra się partja na szachownicy świata. Żołnierzowi zaś nie wolno być litościwym, nie wolno mu okazywać współczucia na wojnie, choćby pod kulą padał jego przyjaciel“.

Realista francuski i sławny powieściopisarz naszych czasów Guy de Maupasant w odpowiedzi ludziom wysławiającym wojnę, pisze: „Łączyć się w stada po czterystatysięcy ludzi, maszerować bez przerwy dzień i noc, nie myśleć o niczem, niczego się nie uczyć, nic nie czytać, nikomu najmniejszego pożytku nie przynosić, gnić w brudzie, żyć jak zwierzęta w ciągłym ogłupieniu, grabić miasta, palić wsie, rujnować narody, a potem spotkać się z drugim stadem przeznaczonem na rzeź ludzi, rzucić się na nich, rozlać morze krwi, usłać rowy i pola mięsem poszarpanem, zmięszanem z krwią i błotem, utworzyć wały trupów, pozostać bez rąk i nóg, pozwolić sobie rozmiażdżyć mózg, wypruć trzewia i zdechnąć gdzieś w polu bez żadnego celu i bez żadnego pożytku, wówczas, kiedy starzy rodzice, żony i dzieci zostawione w domu, umierają z głodu — oto znaczy tonąć w najohydniejszym materjaliźmie“.

Po każdej wojnie, po każdym gwałtownem wstrząśnieniu ludzkość marzyła o wieczystym pokoju. Tak było po trzydziestoletniej wojnie, która podobnie jak ostatnia światowa

strzeleckich, codziennie oczekując śmierci, gdy wokoło padają trupy i rodzą się coraz to nowe kaleki?

Dlaczego ludzie nienawidzą wojnę?

Każdy z nas woli dzionek wiosenny i słoneczny z łagodnym wietrzykiem, aniżeli słotę, zimno i burzę. Rzeczy te jednak są od nas niezależne, a kieruje nimi odwieczne i nieodmienne prawo przyrody, czy też wyrok Opatrzności. Wojna jak huragan łamie konary, wyrывa drzewa, niszczy osiedla, plony, kwiaty, poezję, kulturę i moralność ludzką.

Po każdej burzy człowiek, jak ta mrówka, której psotnik rozrzucił mrowisko, zabiera się do nowej pracy, i zdaje się, że w dziele zniszczenia zawarty jest odwieczny nakaz odbudowy, podobnie jak w śmierci jest nakaz nowego życia.

Człowiek nie lubi przymusu; wojna natomiast zmusza człowieka do najwyższego wysiłku fizycznego i duchowego z narażeniem mienia, zdrowia i życia. Wojna wymierzona jest przeciwko najwyższemu przykazaniu miłości bliźniego, a przecież podczas wojny i po wojnie powołuje się najwięcej instytucji humanitarnych, dostosowuje się na gwałt ustawodawstwo socjalne do nowych warunków, **przez wojnę Naród nasz uzyskał byt samodzielny!** Mimo więc swej zgrozy wojna posiada także dodatnie cechy i jest wybitnym czynnikiem rewolucyjnym, przyczyniając się do radykalnych zmian ustroju społecznego.

Mimo więc obrazków prawdziwie dantejskich, jakie nam wojna przynosi, powiedzieć sobie musimy otwarcie, że ludzkość i w przyszłości nie obejdzie się bez wojen. Dopóki ludzie nie wyrzekną się zwierzęcych popędów, przede wszystkim chciwości i nienawiści, dopóki istnieć będzie na ziemi dobro i zło, dopóty ludzkość z bronią w ręku rozwiązywać będzie spory.

Tym zwierzęcym popędem trzeba przeciwdziałać, trzeba je hamować i odosabiać i w ten sposób będzie można wojny ograniczyć, lub wybuch ich opóźnić, lecz zupełnie je wyrugować znaczyłoby sprowadzić Królestwo Boże na ziemię, a przecież sam Chrystus głosząc ewangelję miłości powiedział, że Królestwo Jego nie jest z tego świata.

Pokój wieczysty jest i pozostanie nadal mrzonką, czyli ideałem ludzkości, do którego zbliżyć się możemy przez pogłębianie naszej kultury serca i ducha.

Do przedniejszych praw wojny należy bezsprzecznie zohydzenie życia ludzkiego i wszystkiego tego, co w czasie pokoju uchodzi za dobry zwyczaj. Armia austriacka to zadanie negatywne spełniała znakomicie.

Stosunek żołnierza do oficera był możliwie najgorszy. W każdej kompanii był podoficer żandarm, który szpiegował podejrzanych żołnierzy, prowokował rozmowy i donosił o nich oficerom Niemcom lub Czechom. Wszyscy uświadomieni Polacy, w szczególności nauczyciele, byli przedmiotem badań i prowokacji. Oficerowie i lekarze traktowali ich brutalnie, a w ślad za nimi także podoficerzy Niemcy i Czesi.

Intendantura podczas postojów funkcjonowała od biedy, podczas pochodów nędznie, w czasie bitew i odwrotów wogóle nie. Od samego początku wojny kradziono i wzbogacano się na nędzy żołnierza. Służba wywiadowcza pozostawiona bez kontroli w rękach szeregowców i frajtrów była nędzną, armię popychał ślepy traf i los, ludzi prowadzono poprostu na rzeź!

Na wojnie „frajter“ odgrywa niepoślednią rolę, bo z reguły prowadzi patrole wywiadowcze i od jego meldunków często zależy los batalji. Miałem takiego przełożonego w osobie muzykanta Tauracha. Dosłużył się kiedyś w kapeli wojskowej stopnia „Gefrajtra“, ale w sprawach wojennych był kompletnym idjotą, a może i genjuszem, bo zawsze wracał cało i z meldunkiem. Dla niego istniał tylko front własny. Oddalał się tak daleko od swoich, dopóki nie znalazł kryjówek. Kładł się wtedy na ziemię i flegmatycznie w wiedeńskim narzeczu wyrokował: „Weiter geh'n mer net, durt is sicher der Fajnt! Hobt ihr net wos z'essen?“ *) Raz w lesie natrafiliśmy na martwego podoficera, który prawdopodobnie na patroli zginął. Taurach wytrzeszczył oczy, stanął i powiedział: „Do hobt ihr's! I sogs immer, man soll net z'weit geh'n!“ **) Przykląkł, myśleliśmy, że do modlitwy, a on tymczasem zręcznym ruchem wydobył dwie „Reserveverpflegskonserwy“ z tornistru nieboszczyka i na miejscu odprawiał stypę. Tak był zażarty, że ogień huraganowy nie byłby go spłoszył z tej „obronnej“ pozycji. Główna rzecz, że meldował!

*) Dalej nie pójdziemy, tam jest z pewnością nieprzyjaciel.

**) Tu macie! Ja zawsze mówię, że nie powinno się zbyt daleko chodzić.

pod nogi i powiedział: „Oto macie pieniądze, a nie krzyczcie, głupia kobieto!”

„Obyście przypadli z waszymi pieniędzmi; dajcie nam chleba, dajcie ojca!”

Krzyk i płacz zwolna ucichł, żołnierze nieczule patrzyli na tę scenę; — było to coś powszedniego.

Po forsownym marszu rozłożył się pułk na matce ziemi i odpoczywał.

Było głucho wokoło. Gdy żołądek pusty, usta niebardzo są chętne, humor zastyga, serce bije powolnem tętnem.

Tylko w kompanji szóstej było żywo i gwarno. Tam właśnie „jednorocznik” dzielili się zdobytą na niebodze gomułą sera.

„Mnie też za dziesięć centów!” — prosił któryś z żołnierzy głosem nieśmiałym.

„Co, ty ośle, myślisz, że za dziesięć centów oddam ci ćwierć gomuły, kiedy sam dałem pięć Koron!”

„Gałgan chce zarobić na żołnierzach; pewnie ukradł, a teraz nie wie, ileby wziąć?” — ozwał się ktoś z tłocza.

„Szczzerba, za te słowa jutro do raportu! Ja cię oduczę w ten sposób przemawiać do podoficera! Żebyś kieszki pokręcił!” — Rozpoczął się rozgardjasz wśród żołnierzy, powstały dwa obozy: podoficerzy, którzy stanęli bezwzględnie po stronie sponiewieranej władzy, do których przyłączyli się protegowani, którzy otrzymali po kawałku sera, — po drugiej stronie stanął głodny tłum w cichym pomruku.

A oto nadchodzą sędziowie.

Idzie pułkownik z adjutantem, kapitan szóstej kompanji i jeszcze kilku oficerów; przystanęli obok grupy.

Komendant kompanji zbliżył się i zapytał tonem łagodnym:

„Jednoroczny X, gdzieś ty zdobył taki ładny kawałek sera?” „Kupiłem od wieśniaczki, panie kapitanie”.

„Wstań, jeżeli przełożony do ciebie mówi!” — rzekł szorstko pułkownik. Młodzieniec wstał, wyprostował się jak struna, trzymając resztę sera w lewej ręce.

„Ile zapłaciłeś za ten ser?” — pytał dalej tonem urzędowym pułkownik.

„Pięć Koron, panie pułkowniku”.

masz ślaski) gotowałem w wypożyczonym czagunie na polu kapustę, ażeby uraczyć najbliższych kolegów. Niestety nikogo nie zadowolilem, przeciwnie, wszyscy mieli do mnie żal, bo kapusty było za mało. Żaliłem się Bogu i gwiazdom na niewdzięczność ludzką. Kol. L. wrócił późno ze wsi i przyniósł mi placek, do którego zużył dwie garści mąki i garść soli.

On jedyny ucieszył się z pozostawionej mu kapusty, a placek darował mi na pamiątkę dziesięciolecia mego wesela. Zakąsiłem, — miał smak żywicy i goryczy.

Mój kolega L. miał złote serce, apetyt wilczy, ale talentu kucharskiego nie posiadał za złamany szelong. Nie zapomnę, jak mnie koło Dulczy uraczył jajecznicą własnego pomysłu. On zakupił słoniny, ja przyniosłem dziesięć jajek; wyszedłem jeszcze za mlekiem do sąsiada, on tymczasem skrajał słoninę, wbił wszystkie jaja i tak smażył. Jaja się upiekły, a słonina pozostała surową.

Gdy wróciłem, trzymałem się za brzuch od śmiechu, lecz on się strasznie uniósł, krzycząc: „Skoro wiedziałeś, jak się to robi, czemu mi nie powiedziałeś? — Wszystko zmarnowane!”

Zbyt szerokie rozpisuję się o tych zabiegach, dążących do nakarmienia ciała, ale żołnierz na wojnie dwóch się tylko rzeczy boi: śmierci i głodu. Ostatni strach udziela się i ludności cywilnej zdala od frontu.

My i dziś ciągle żyjemy tą psychozą powojenno-głodową. I dziś ludzie kupują i konsumują więcej, aniżeli im rzeczywiście potrzeba, a narzekają głośno i wiecznie, jak gdyby rzeczywiście jutro mieli z głodu umrzeć. Nie dosyć na tem, narzekają i tacy, co wszystkiego mają wbród. Jest to objaw hysterji powojennej.

W dzień św. Jadwigi okapałem się zrana w rzece Kamiennej pod murami przepięknego zamku batowskiego, należącego do ks. Lubckiego. Kol. L. otrzymał od narzeczonej cenną przesyłkę: salamę, czekoladę i wódkę Baczewskiego. Podczas odpoczynku uraczył nas wszystkich znajomych i mieliśmy rzeczywiście kiermasz ślaski, przyczem rozdałem i mój placek weselny.

Były to ostatnie przebłyśki przyjaźni i może najpiękniejsze chwile koleżeńskiego pożycia. Chodziłem wtedy nawpół boso, bo moje „dwa lewe“ zużyły podeszwę, a nie było



Bitwa w Puszczy Kozienickiej.



Była to moja ostatnia wyprawa.



7. W niewoli.

Wczesnym rankiem na polu walki z dnia poprzedniego dostałem się do niewoli. Zjawił się oddział sanitariuszów rosyjskich, szukał rannych i przeszukiwał zabitych.

„Pan Polak, czy Niemiec?“ — odezwał się do mnie podoficer z pod Kalisza. — „Polak.“ — „Dlaczego wy kościoły burzycie i miasta spokojne rozbijacie?“ — „Nie wiem o tem, pierwsze słyszę“.

Poczęstował mnie, nacierał moje nogi i oddał mnie przejeżdżającemu konnemu patrolowi. Był to patrol dragonów. Komendant zagadnął mnie: „Nie bój się, u nas dobrze. Będziesz mieszkał w koszarach, otrzymasz dobry wikt, Rosja wielka i bogata“. Oddał mnie oficerowi w okopach i na ślicznym koniku, jak postać św. Jerzego umknął w dal.

Ledwie się dowlokłem do przednich okopów rosyjskich. Poczęło dnieć. Bożek wojny ozwał się grzmotem armat. W okopach głębokich i belkami zabezpieczonych było pełno żołnierzy.

Co się wtedy ze mną działo, trudno opisać. Od straszego obowiązku wolny, znalazłem się zdany na łaskę „wroga Moskale“. Czy mnie rozstrzelają albo też okaleczą? Różnie nas straszono. Znałem Moskali z naszej literatury porozbiorowej i tylko z najgorszej strony. Liczyłem się z tem, że zginę, że będę rannym, a może i kaleką. O niewoli najmniej myślałem i ta właśnie niewola stała się dla mnie rzeczywistością.

Stanałem przed oficerem. Poznał mnie po oznakach i przywitał: „Sotny płuk?“ Znaliśmy się z trzydniowej walki. Oficer skinął palcem, rozłożył przedemną mapę i tak mówił: „Tutaj my, tu wasz pułk, a gdzie pozycja waszej artylerji?“ — „Nigdy nie widziałem, bo artylerja zawsze stoi za piechotą“. — „Prawilno! Dajcie mu śniadanie!“

bisko; to piac wczorajszego boju! Jak snopy podczas żniw leżały trupy niedawno poległych.

„Oto leży wasz generał!“ Patrzę, w rowie leży feldwebel sztabowy 77-go pułku przezwany po śmierci generałem. Leży biedak ze straszną raną w boku, a krew wszystka prawie zestygła leży pod nim.

Straszne bajoro!

Niedaleko od drogi odbywa się uroczysty pogrzeb ruskich żołnierzy. Przystanęliśmy z ciekawości na chwilę. Do rowów strzeleckich nałożono poległych wzdłuż jak snopy, a nad otwartą mogiłą pop śpiewał po raz setny: „Hospody, hospody pomyśl!“ — Odezwał się imponująco chór żołnierzy: „Wiecznaja pamiać“. — Pieśń wzruszająca, głosy śliczne, dobrane — wrażenie jedno z tych, co do śmierci pozostawają w pamięci.

Nareszcie po trzygodzinnym marszu dochodzimy do Kozienic. W pałacu stoi komenda korpusu. Wychodzi kilku starych posiwiiałych generałów, widocznie doradcy sztabowi.

Jeńców z różnych stron sprowadzonych stało już kilkanaście set, między nimi krakowska szesnastka, (obrona krajowa, t. zw. krakowskie..... syny), która w brawurowym ataku dostała się do matni i skapitulowała. Siadamy na trawniku i czekamy.

Przychodzi ruski pop i rozpoczyna rozgovor. „Wy Polacy, czy Niemcy?“ Ciagle to samo. Przybliżył się do mnie i przykucnął.

„Wy także Polak?“ — „Także“. — „No ja rozumię po polsku, bo ja z chołmskiej gubernji, ale mówić to mówię płocho. No wy mnie też zrozumiecie, ja będę mówił wpół na wpół. Co u was mówią o Rosji?“

Co na to odpowiedzieć? Może to prowokator wysłany z rosyjskiego sztabu. Chwilę milczę. Widzi, że nie dowierzam, rozpoczyna ze starej beczki.

„Ja Słowianin, wy Słowianin, znaczy brat. Wy się nie bójcie, ja pop, ja ksondz, ja nie pristaw (komisarz policji). Powiedzcie, co u was o Rosji mówią?“

Biorę na odwagę i mówię: „Kolos na glinianych nogach“. „Nieprawda, Rosja wielka, ale i silna. Austrię pobije i Polsce da swobodę. Będziemy żyli jak bracia. Wielki ksiązę nasz Mikołaj Mikołajewicz będzie namiestnikiem w Polsce, która

hardy naród, ale to się wszystko ułoży i będzie „wsio haraszo i błagopołużczo“. — „Toczyliście z nas przeszło sto lat krew, zasłaliście naszymi trupami Sybir i Nerczyńskie kopalnie, — od Warszawy po Kamczatkę krzywda nasza waszą ręką pisana!“ — „Prawilno! To było, ale już nie będzie! Dwa największe słowiańskie narody muszą żyć z sobą w zgodzie“.

Wstał i odszedł. Myślałem, że poszedł po żandarma. On tymczasem po chwili wrócił ze siostrą miłosierdzia, a ta miała na wielkiej tacy kilkadziesiąt chlebów z masłem. Chleb żytny, świeży, pewnie z ukraińskiego zboża. Na wierzchu na palec grubo wonnego sybirskiego masła. Stał przedemną i z szelmowskim uśmiechem rzekł: „Oto Polak hardy sierdzi się na brata Rosjanina za winy ojców naszych. Dać mu ruskiego chleba, on teraz gościem naszym“.

Chleb rzeczywiście smakował, a pop ruski z Chełmszczyzny dobrze spełniał swą misję polityczną, biorąc nas na kawał na sentymenta słowiańskie.

Spoczywaliśmy na trawie, był dzień 25 października, a tam o piętnaście km przed nami wrzała walka zajądła. Myśmy już należeli do innego świata. Nam było myśleć o samodzielnej Polsce — albo o Polsce z łaski Mikołaja Mikołajewicza.

Pod wieczór uporządkowano nas we czwórki i zaprowadzono po obiad. Oprócz obiadu i trzech funtów chleba każdy z nas na rękę otrzymał dwie duże kostki cukru i porcję herbaty. Obeznaliśmy się także z „kipiatokiem“ po raz pierwszy. Jest to woda wrząca, zagotowana we wielkich kotłach, przeznaczona do parzenia herbaty.

Po uciążliwych marszach ostatniego miesiąca, po tarapatach ostatnich trzech dni bitwy czułem się nieswojo. Poszedłem do pałacu, a tam mnie pewien ruski żołnierz przygarnął do siebie. Spałem z nim w pokoju oficyny razem z dwoma końmi. Zasnąłem jak głaz, pomimo jesiennego przymrózku i rozbitego okna. Rano wstałem krzepki i zadowolony. Dokąd nas tylko zawiozą?

Obmyłem się z brudów i wyczyściłem buty, które oma! nie stały się mojem nieszczęściem. Wychodzę za bramę, spotykam ruskiego sztabskapitana, salutuję, jak przystoi, a on wpił oczy we mnie i krzyknął: „Swołocz, parszywaja! Ty ruskiego ubił i sapagi zabrał!“ — Tłumaczę, że buty uczciwie

byli na żydów strasznie zawzięci. W naszym transporcie było ich kilkunastu. Wieczorem podczas spoczynku w podwórzu pewnego folwarku niedaleko Puław, rozłożyli ogień i zabierali całe belki ze stodoły, ażeby go podtrzymać. Śpiewali, tańczyli, a wkońcu i pohulali. Złapali jednego żyda i bez pardonu rzucili w ogień. Gdy się biedak wygramolił z ognia, zaczęli się nim bawić jak piłką nożną i co chwila rzucali go w płomień, aż biedak został bezprzytomny. Wtedy ściągnęli go ze stosu i oblali wodą. Był tak poparzony, że nie wrócił już do przytomności. Byli tacy z pośród jeńców, co się temu śmiali, inni po raz pierwszy wglądnęli w głębię duszy rosyjskiej i pomyśleli o przyszłości.

Z Puław zawieziono nas do Lublina. Pierwszy śnieg zaproszył ziemię. Czekaliśmy wieczorem i nocą na pociąg dalszy, który nas miał zawieźć gdzieś w głąb Rosji.

W transporcie było sporo Czechów; ci zwachali się odrazu z Moskalami i korzystali z ich gościnności na ziemi polskiej. Były więc bułki, pierogi, obwarzanki, papierosy, herbata, była i pieśń czeska, która mi utkwiała w pamięci:

(:Mysme ta wesela bida
Bida, bida, bida wesela.:)
Szup sem, szup tam,
Nam už je to wszecko jedno,
Szup sem, szup tam,
Nam už je to fuk!



8. Przez Rosję.

Kto nie zna tego kraju, tych szalonych przestrzeni, tej ludności zdolnej do wszystkiego, tej duszy szerokiej i niezgłębionej, tego bezbrzeżnego morza słowiańskiego, tego cmentarzyska kultury i wolności, tego autokratyzmu przyrody — temu trudno zrozumieć opisy i słowa. W czasie blisko czteroletniej niewoli tyle sam widziałem i przeżyłem, a w obozie dla jeńców tyle zdarzeń słyszałem — wiarogodnych i naciąganych, że wszelki krytycyzm zatraciłem i jedno tylko uczucie pozostało mi, że wszelkie opowieści o kraju, ludności i zdarzeniach na tak olbrzymiej przestrzeni są conajmniej możliwe, prawdopodobne, a nawet prawdziwe.

Trudno nawet obwiniać autokratów carskich za te różnorodne stosunki, jakie panują na tej olbrzymiej przestrzeni zajmującej pół Europy i Azji. Więcej aniżeli potężny biały car urabiały warunki twardej przyrody duszę i charakter mieszkańca. I samodzierżawie i komunizm, one w równej mierze odpowiadają duszy rosyjskiej i dlatego się ogólnie mówi: zmienili się ludzie, lecz nie zmieniła się forma rządu, nie zmieniły się stosunki.

Był polityk — poeta, który po upadku caratu, do którego cała Rosja się modliła, bo się go bała, chciał wolnością i ziemią zdobyć serce narodu. Ta próba się nie udała, Kiereńszczyzna minęła jak sen błogi.

Przyszedł po nim straszny realista, choć z hasłami jakby z księżycy, gorszy od Tamerlana, zniszczył całą Rosję, wymorzył dziesiątki milionów głodem, wygubił całą inteligencję i to wszystko jedynie dla doktryny. On ciąży nad narodem jak zmora; przestrzenie i ciemnota stoją na jego usługach.

Żałowano nas do ograniczonych wagonów towarowych, t. zw. ciepluszek, które dla dalekich transportów były znakomicie urządzone, bo posiadały „nary“ tak, że wszyscy pasażerowie mogli siedzieć albo spać. Opał wydawano nam co dzień. Raz na dzień karmiono nas w tak zwanych „pitatelnich“ punktach. (Pitanie i kuszenie znaczy pożywienie, po ukraińsku charcz.) Jedzenie było proste, ale pożywne. Był przede wszystkim barszcz, do którego kapusty kiszzonej nie szczędzono; było mięso, czasem i kasza, a na drogę spory kawał chleba razowego. Zdarzyło się dwa razy podczas długiej podróży, że zapomniano nas nakarmić. Praporszczyk, pisarz i komendant stacji pożywczej podzielili się kwotą, która była na wikt przeznaczoną. Karności podczas transportu prawie że nie było. Pociąg (eselon) czasem biegł długo, bez postoju, to znowu godzinami czekał na wyjazd. Jeńcy rozbiegali się po stacjach i miastach, spaźniali się na pociąg, pozostawali czasem po kilka dni na miejscu, a potem znów wsiedali do pierwszego, lepszego transportu, bo transportów takich dziennie jechało dziesięć i więcej.

Gdyśmy przyjechali do Mińska 31 paźdz., a więc w trzy miesiące po rozpoczęciu się wojny, powiedziano nam, że do-
tąd pojmano jeńców austriackich dwieście dwadzieścia tysię-
cy. Gdy w r. 1916 rejestrowano jeńców, otrzymałem numer
1,624.233, a chyba mój numer nie był najwyższy. Całe armje,
ba całe narody wędrowały do niewoli. Można powiedzieć
śmiało, że wojna europejska była największą przymusową
wędrownką ludów. Ciekawą byłaby statystyka, ilu jeńców
umarło w niewoli, a ilu powróciło. Jestem zdania, że niewola
jest taksamo zabójcza jak wojna — przynajmniej taką była
niewola rosyjska. A przecież muszę przyznać, że było mi cza-
sem tak dobrze, że w sercu życzyłem sobie, by moi najbliżsi
w domu też tak się mieli; były niestety i chwile tak straszne,
że nie miałem, co zjeść, a gorzej, że nie miałem czem oddy-
chać.

W dzień Wszystkich Świętych stanęliśmy w Orszy — 720 wiorst od Warszawy, 504 wiorst do Moskwy. (Wiorsta jest coś dłuższa aniżeli km.) Od Smoleńska rozpoczął się „istunno ruski“ krajobraz. Teren prawie że płaski, wioski olbrzymie i daleko od siebie odległe, chaty drewniane, słomą

kryte i bez kominów. W środku siola stoi cerkiew z kilkoma cebulistami wieżami.

Na stacjach ludność sprzedawała nam pierogi, bułki i mleko. Wszystko było na nasze stosunki i pieniądze nadzwyczaj tanie. Niewielu z nas miało pieniądze, a wymienić było trudno, szczególnie papiery, bo Moskale wierzyli w to, że Austrię rozbiją raz, dwa, i że pieniądź nasz straci zupełnie wartość. Ludność tej okolicy, aczkolwiek biedna, była litościwą, chętnie kupowała od jeńców części ubrania, obuwia lub zegarki i pierścienie, a często biedaków, którzy niczego nie posiadali na wymianę lub wysprzedaż, obdarowywała mlekiem i pierogami. Długo się przypatrywałem, bo miałem tylko pół rubla przy duszy, a jałmużny przyjmować nie chciałem.

W Tule staliśmy kilka godzin. Z przeciwnej strony nadjechał ekspres transsyberyjski, wysiadło kilku zamożnych pasażerów. Inni otwierali okna, rzucali nam bułki, mięso i cukier. Nasi jeńcy jak dzikusy rzucali się na ochłapy, niektórzy zdejmowali czapki i po rosyjsku prosili: „Zemlak požalujsta”. (Rodaku proszę.) Więcej nie umieli. Obserwowałem tę gawiedź zdemoralizowaną i wstręt mnie ogarniał. Przystąpił do mnie jakiś jegomość przystojnie ubrany, pewnie kupiec i cichaczem wsunął mi srebrnego rubla do ręki. Czy wyglądałem na dziada kościelnego, czy też odróżniałem się od innych, nie wiem, co go skłoniło do tej znacznej ofiary. Zarumieniłem się i chciałem oddać z powrotem, ale jegomość tylko palcem skinął i okiem mrugnął. Stałem się odrazu człowiekiem bogatym. Za półtora rubla mogłem kupić dziesięć funtów cukru, albo dwadzieścia funtów mięsa, lub pięćdziesiąt funtów chleba.

Pewien towarzysz, który mówił po rosyjsku, miał wcale wesołą przygodę. Podeszedł do niego jakiś rezerwista (opółczeniec) powołany do służby, dał mu w łapę pół rubla i pytał się go, w jaki sposób najlepiej dostać się do niewoli. Uśmieśliśmy się, a niektórzy zrobili z tego później źródło dochodu, bo za pieniądze doradzali rosyjskim żołnierzom, jak się mają poddawać, wychwalając niewolę austriacką.

Były czasem i sceny wstrętne. W naszym transporcie było kilkunastu Madziarów i Rumunów, a ci zawsze skorzy byli do kradzieży i rabunku. Na pewnej stacji rozmyślnie powalili stragan i wszystko doszczętnie zrabowali. Wpadł konwojujący oficer z rewolwerem w rękę, dopadł dwóch rabu-

siów, ale ich nie zastrzelił, przeciwnie pytał się ich, dlaczego to zrobili. Przez tłumacza dowiedział się, że popełnili to z głodu. Dał im po pół rubla i napomniął ich, by po drugie raczej prosili, a nie rabowali.

Miasto Penza jest ślicznie na wzgórzu położone. (6 XI.) Posiada uniwersytet i bogate kupiectwo. Jest tutaj olbrzymi handel futrami, a pomiędzy kupcami jest sporo Niemców. Sta-
liśmy w Penzie pół dnia. Prosili mnie koledzy, żebym im wy-
mienił Korony papierowe; poszedłem i zwiedziłem całe mia-
sto. Ofiarowano mi sporo bułek, kiełbas i cukru, ale Koron
austriackich nikt wymienić nie chciał. Wstąpiłem do księgarni
uniwersyteckiej na ulicy Carskiej. Pokazuję Korony i mówię:
„Pożałujsta zemlak, wymienicie dziengi awstrijskie“.

Tyle się nauczyłem na pamięć. Mały, podśladkowy o „winokurnym“ nosie Moskwit porwał mi pieniądze z ręki, rzucił je na ziemię, splunął, zaklął siarczyście i tak mnie więcej pomstował na całe gardło: „To nie pieniądze! Waszego F. J. tego starego osła na ławę położyć, a 25 batów mu dać! On je i tak dostanie, bo za miesiąc weźmiemy Wiedeń i będzie po waszem państwie, cesarzu i pieniądzach. Tfu, zaraz i swołocz parsziewa awstrijska!“ — Chciałby może ktoś twierdzić, że nie cierpiałem za Austrię!

Pozbierałem pokornie sponiewierane pieniądze, w dodatku nie moje i czekałem na chwilę, póki pan księgarz uniwersytecki i dostawca carskiego dworu nie ochłonie z pierwszego gniewu. Po chwili zbliżyłem się do niego, wyjąłem pół rubla i poprosiłem go, by mi sprzedał rosyjski elementarz. Twarz tego narwańca wypogodziła się, podał mi elementarz (bukwar) pieniędzy nie wziął i w dodatku darował mi ładną mapę historyczną imperjum rosyjskiego, podklejoną na płótnie za 1 R. 20 kop. Przy tej sposobności wyłożył mi krótką historję Rosji, chwalił się bogactwem chleba, bydła i ludzi. Powiedział mi także w sekrecie, że nas na Sybir wiozą i że mi się mapa może przydać. Żona księgarza zaprosiła mnie na herbatę i rozmawiała ze mną naprzemian po polsku i po niemiecku. Na drogę otrzymałem bułek carskich, szynki, cukru i herbaty. Księgarz pożegnał mnie czule. Taka to rosyjska natura! Pokrzyczy, nakłnie i wkońcu się we łzach rozplynie i do serca przycisnie. Bywa i odwrotnie. Pieniądze wymieniłem u ku-

śmierza Niemca, który wierzył w dalszy byt Austrii i Niemiec, a śmiał się z fanfaronady rosyjskiej.



Rosja wielka i bogata.

Z Penzy wysłałem kartki do żony i brata w Preszburgu. Karty te doszły szczęśliwie, do żony 24 grudnia, do brata między świętami Bożego Narodzenia.

Koło Samary przejeżdżaliśmy przez słynny żelazny most na Wołdze blisko jeden km długi. Była noc księżycowa. Wołga to duma narodu rosyjskiego: „mac rodna ja i rosyjska rjeka“. O niej śpiewają setki piosnek smętnych i różnych „dubinuszek“, po niej płyną liczne galary i statki, na jej brzegach leżą żyzne pola i stepy rozległe. Tu lęgnie się szarańcza, tu grasuje pomór, tutaj w ostatnich latach kilka milionów ludzi pomarło z głodu. Poważną i majestatyczną, gdy powoli toczy swoje wody, straszną, gdy wystąpi z brzegów i na szerokości kilku mil zalewa pola, stepy i niszczy wszelkie życie.

Poza Samarą i Ufą aż do Uralu jedzie się pośród stepu, gdzieś tam uprawianego. Za Wołgą kończy się właściwie etnograficzna Rosja, bo stepy od dawien dawna zamieszkiwane były przez różne koczownicze plemiona, jak Kirgizów, Tatarów, Bakczyrów i dziesiątki innych. Żywioł rosyjski znajduje się po miastach i wzdłuż brzegów większych i spławnych rzek. Język rosyjski jest jednakowoż bardzo rozpowszechniony, a półdzikie ludy tubylcze uczą się rychło tego języka państwowego. Zbliżamy się do Uralu. Złatoust, Skała Aleksandra, słup graniczny między Europą i Azją — przesunęły się przed nami. Mrozy dosięgały już 20° R, ale myśmy się bawili śniegiem i czynili różne psoty.

Ural jest bardzo podobny do naszych Karpat lub do Beskidu. Składa się z kilku pasm obfitujących w źródła mineralne i bogate pokłady kruszców. Na różnych stacjach sprzedawano surowe i szlifowane kamienie drogic przejeżdżającej publiczności.

Pewien lekarz Polak radził nam, byśmy się do syta napili wody w Uralu, bo kto ze Syberji chce powrócić do domu, nie śmie tam pić surowej wody. Była to rada zbawienna.

Moskale naogół nie piją wody ze studni, bo ta nie jest święconą, natomiast piją wodę ze rzeki, którą pop święci w Święto Jordana, (nasze święto Trzech Króli). Jest to największe święto, (prazdnik samobolszoi), bo Moskale rozumują tak: gdyby się Chrystus nie był wychrzczył, nie byłoby chrześcijaństwa. Ta wiara Rosjan w moc wody poświęconej rokrocznie ńorywa miliony ofiar ludzkich. Na Sybirze i we większej części Rosji europejskiej nie używa się nawozów, tylko podczas długiej zimy wywożą je do zamarznętego koryta rzek. Z wiosną lody topnieją, woda miesza się z nawozem.

a ludzie piją taką wodę surową i gotowaną w herbacie. Kto używa wody ze studni, przeznaczonej dla zwierząt domowych, tego uważają za poganina (jazecznika) i przed takim się żegnają. Potęga ciemnoty!

Skutki tego zabobonu są fatalne. Rokrocznie z wiosną spory procent ludności choruje na tyfus brzuszny czyli dur, a umierają przeważnie dzieci.

Za Uralem pierwsze większe miasto jest Czelabińsk, 350 wiorst od Złatomstu odległe. Położone jest pośród stepu i posiada już wybitny charakter azjatycki. Domy niskie, drewniane, parkanem otoczone, ulice szerokie i wyboiste.

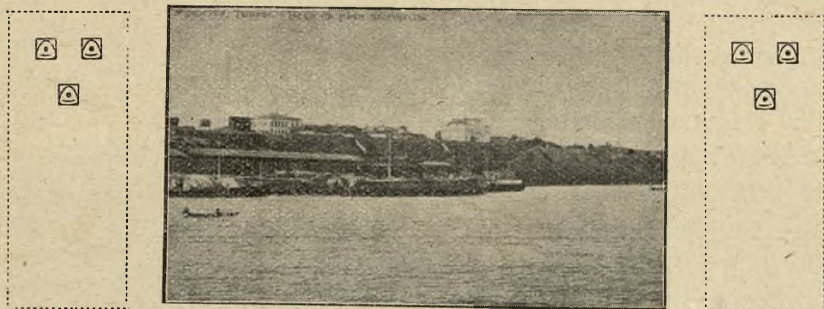
W Petropawłowsku podzielono nas według narodowości.

Madziarów i Niemców wysłano do Krasnojarska i dalej, Słowian osiedlono w Sybirze Zachodnim, niedaleko Uralu lub na południu w Turkiestanie i Semipalatińsku.

W Omsku spotkaliśmy strzelców syberyjskich wyjeżdżających na front zachodni. Pewien kapitan sztabowy (major) przybył do nas i rozpoczął z nami taki rozgovor: „Jak długo potrwa, chłopcy, wojna?“ — „Chyba trzy miesiące jeszcze“. — „Kto zwycięży, a kto będzie pobity?“ — Milczeliśmy, bośmy się bali zdania nasze wypowiedzieć. Kapitan wtedy powiedział: „Wojna potrwa jeszcze rok, dwa, pięć — dziesięć, dopóki Germaniec nie zostanie pobity. Z Austrią my na wiosnę skończymy; Austrii nie będzie, a stary durak Franc będzie naszemu Mikołajowi Mikołajewiczowi we Wiedniu buty czyścił. Wy popatrzcie na nasze strielki sybirskie. Jest takie chłopcy u was? — Chodź no tutaj, Wańka!“ — zawołał najtęższego z żołnierzy, prawdziwego wielkoluda i tak się go pytał: „Wańka, ile ty takich awstriecków weźmiesz na sztyk?“ (bagnet). Wańka się roześmiał i mówi: „Sztyka żałko, (szkoda) ale kułakom (pięściom) można dziesięć sztuk ubić!“ — „Wot maładziec! — Takich, jak Wańka, jest na Sybirze kilka miljonów, oni jeszcze nietknięci! U was biorą kosy i bez zębów, u nas każdy żołnierz musi mieć oczy, żeby nieprzyjaciela widział, i zęby, żeby mógł jeść mięso i kaszę. Wy widzieli, jak Rosja wielka i bogata, a to początek, chłopcy! Gdzie Bajkał, a gdzie Władywostok! Pojedziesz jeszcze brat miesiąc eszelonem, a to wszystko Rosja! Ile chleba, (zboża) skotu i ludzi! My możemy dziesięć lat wojo-

wać, a starczy wszystkiego, a na Austrię my tylko tak (tu dmuchnął na dłoń) i jej nie będzie!”

Tak nam opowiadał, a na zakończenie — wszystkie papierosy, jakie miał przy sobie, rozdał między nas. Po polsku



Miasto Tjumeń latem.

nauczył się od żołnierzy polskich, którymi dowodził we wojnie japońskiej. — Pewnie biedak gdzieś w Karpatach zginął, nim Wiedeń i starego Franca zobaczył. Pozatem miał wielką rację.

Przez Tarę Iszim przybyliśmy nareszcie wieczorem dnia 16 listopada do Tjumenia, w którym to mieście z małą przerwą przebywałem dwie zimy i jedno lato.



Sobór, obok koszary pułkowe w Tjumeniu.

Prowadzono nas przez całe miasto i osadzono w magazynach obok pułkowych koszar. Nikt nas dotąd nie spisywał, najwyżej nas liczono.

Pierwszy nocleg utkwiał mi do śmierci w pamięci. Magazyny były sklepione o małych okienkach. Na murze było szronu na dwa palce; obok ścian ustawiono barłogi (nary) na jedno piętro z desek nieokorowanych. Miejsca było mało, więc żołnierz rosyjski układał nas „kantem“ na narach. Na polu było wówczas ze 25° R.

Z grubych murów wiał straszny chłód, nie było pieca i nie było wentylacji. Ludzie dygotali i dzwonili zębami, atmosfera stała się ciężka, wszyscy zaczęli kaszleć i dusić się. Koło jedenastej w nocy wywlokłem się na podwórze, ażeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Liczyłem gwiazdy i tańczyłem jak wilk. Śnieg nie tylko skrzypiał, ale śpiewał pod nogami. Wróciłem do magazynu i jeszcze kilka razy wybiegłem na pole, nim koło godz. 1/9 słońce wyszło na niebie. Zimno, zimno i zimno, dokąd się człowiek obrócił. Przypomniały mi się słowa poety Garczyńskiego:

„Obyście nigdy nie znali tych krajów,
Gdzie wieczna zima wrozem ścina duszę,
Gdzie gwałt i hańba, męczarnie katusze
Prawem narodów, godłem obyczajów:
Obyście nigdy nie znali tych krajów!”

O, boskie słońce! Z tobą nietylko dzień nastaje, ale z tobą każde żyjątko odżywa; z tobą na nowo nadzieja się rodzi, serce się cieszy i zbawienia czeka!

Poznałem kolegę Leśniaka z 12 rot. Był to młody nauczyciel z okolicy Gorlic, który już od miesiąca siedział w Tjumeniu i z każdego nowego transportu wyławiał nauczycieli Polaków. Od niego dowiedziałem się, że istnieje 12 rota złożona z inteligentów, że jest w niej około 40 nauczycieli, a nawet trzech ze Śląska. Przywitałem się rychło z kolegami: Maroszem, Mrowcem i Siwym, a poznałem cały szereg kolegów z Małopolski, jak: Dryłę, Pasternaka, Popiela, Roga, Świątka, Syca, Wójtowicza i Ziębę, oraz akademika Wiśniewskiego i w. i.

Wprowadzili mnie do roty 12, gdzie było bardzo wesoło, gdyż obok nauczycieli była tam prawie cała kapela, zdaje się, 18 berneńskiego pułku, który ze sztandarem i muzyką poszedł

do niewoli. Była więc muzyka, a był także i chór męski złożony z 60 śpiewaków pod batutą kol. Wójtowicza. On mnie wprowadził do Czytelni polskiej, umieszczonej na farze, zapoznał mnie z ks. prob. Budrysem, inż. Wołodźką i pp. Karnacewiczami, a przez Czytelnię i kościół z całą tjumeńską Polonią, liczącą około 600 dusz.

Czytelnia i kościół katolicki w Tjumeniu stały się głównym naszym ogniskiem. W czytelni odbywały się próby śpie-



Chór kościelny w Tjumeniu.

wu, koncerty i przedstawienia. Czerpaliśmy obficie z dosyć dobrej biblioteki Czytelni polskiej.

W kościółku, który dziwnie przypominał mi kościółek we wiosce rodzinnej Krasnej, śpiewał co niedzielę nasz chór. Kol. W. z pamięci układał partytury pieśni, a ja z innymi przepisywałem nuty. Cieszyłem się z tego zajęcia.

Istniał w Tjumeniu Komitet Polek, który się specjalnie zajmował jeńcami Polakami. Do komitetu należały panie: Rybińska, teściowa dra Karnacewicza, wdowa po powstańcu z r. 1863, zwana przez nas „babuszką“, córka jej Karnace-

w błocie. Po obu stronach ulic są wąskie chodniki zbite z desek, pomieszczonych na palach. Pod tymi chodnikami są tu i ówdzie kanały, o ile ulica znajduje się na gruncie spadzistym.

Miasto Tjumeń przedstawia typ miasta wschodniego, bardzo szeroko rozbudowanego.

Początek miasta sięga do 14 wieku. Była to dawniej osada tatarska zwana Czynga Tura, położona na rzece Turze, wpadającej do Tobołu, rzeki pobocznej Irtysza. W r. 1579 kozak Jermak Timofiejew wyruszył na czele swego oddziału za Ural. W r. 1580 dotarł do rzeki Tury, pobił księcia tatarskiego Jępanisa, zajął Czyngi Turę i tu przepędził całą zimę. Kozacy z Jermakiem na czele zdobyli prawie całą Syberję dla cara. Jermak należy do przedniejszych bohaterów wielkiej Rosji.

Krajobraz zimowy jest dosyć ponury pomimo prześlicznej zimy sybirskiej, która ma to do siebie, że jest cichą i mroźną. Te straszne burze sybirskie, o których często się pisze, są zjawiskiem rzadkiem, natomiast regułą jest zima spokojna, przejmująca mrozem do kości i szpiku, zima majestatyczna, często przygniona, a rzadko się pełnem blaskiem słońca śmiejąca.

Mrozy prawdziwie sybirskie przychodzą w trzech se-rjach, a według kalendarza nazywane są: Mikołajowskie, Rożdestwieńskie (Boże Narodzenie) i Matki Boskiej (Gromnicznej). Najsroższe są około Bożego Narodzenia (według naszego kalendarza 6 stycznia).

Dochodzą wtedy nawet do 42° R. Powietrze w dzień jest lekko zamglone, mgła ta parzy jak ogień i przenika całe ubranie. Człowiek w drodze staje się sennym, przed oczyma stawiają się miraż, oddycha szybko, biorąc powietrze małemi ilościami przez nos i usta. Uszy, nos, palce i nogi najbardziej odczuwają mróz. Ludzie piersiowo i sercowo chorzy ciężko zimuja na Sybirze; zdrowi lepiej znoszą surowe chłody aniżeli straszne upały w lecie. Nawet wróble i gołębie padają ofiarą wielkich mrozów i podczas lotu spadają na ziemię. Woda przelewana cienką strugą spada na ziemię jako kawałki lodu. Lód na rzekach dochodzi grubości blisko metra, ziemia takśamo głęboko marznie i przez dwa miesiące letnie zaledwie w tej głębi odtaje.

Słońko, jak i wogóle ludność tego kraju, nie lubi zimą wczesnie wstawać, bo u mieszkańca Sybiru, kiedy wstaje, to

Przejdźmy się na bazar, położony w południowej części miasta. Jest to ulica szeroka jakich dwadzieścia sążni i półtora wiorsty długa. Po obu stronach drewniane kramiki z różnymi towarami. Właściciele, przeważnie Tatarzy, rzadziej Ormjanie lub żydzi. To są sklepy stałe, otwarte przez cały tydzień; natomiast na placu samym odbywają się większe targi raz w tygodniu. Zjeżdżają interesenci w promieniu do sto pięćdziesiąt wiorst. Karawany z mięsem i sianem jadą nawet dwieście wiorst w przeciągu dwóch dni. Koń sybirski mały, krępy, kosmaty jest ogromnie wytrzymały w drodze i bardzo mało wymagający.

Kupiec sybirski, czy tatarski, ruski lub ormjański jest na Sybirze zamożny i rzetelny. Nie traci czasu na przetargi; u niego wszystko prix-fix! „Stolko stoit; chatitje bieritje, nie chatitje, nie bieritje!” (Tyle kosztuje; chcecie, bierzcie, nie chcecie, nie bierzcie!)

Tatarzy spełniają na Sybirze rolę naszych żydów, lecz są nieskończenie uczciwsi od nich! Zalet towaru nie zachwalają, natomiast zwracają uwagę na braki towaru i cenę złego towaru obniżają. Można od jednego Tatara kupić pięć sań siana, a każde będą po innej cenie: te 80, te 95, owe 110, tamte 120 a inne 150 kopiejek. Można polegać na tem, co Tatar powie. Jak daleko nam do rzetelności Tatarów!

Zboże i mąkę sprzedaje się na pudy, (około 16 kg). Przywożą je sypem w koszynach, a kupujący przynoszą worki. W środku targowiska stoi olbrzymia waga szalkowa, myślałby ktoś, że to szubienica. Wydaje się, jakby tę wagę montował sam Jermak, zdobywca Sybiru przed trzystu laty.

Głównym artykułem na bazarze jest ryba. Przywożą ją zamarznąętą z magazynów, wysypują do śniegu, co tak łoskocze, jak gdyby ktoś furę kamienia wysypał. Co za obfitość i wielorakość tych ryb! Spisywałem kiedyś chciwie ich nazwy, dziś jedną „nelmę korolewską“ zapamiętałem, a znałem coś sześćdziesiąt gatunków. Rybę sprzedaje się przeważnie na pudy; jest to zrozumiałe, gdyż każdy mieszkaniec Tjumenia posiada własną lodownię. Cena ryb wynosiła coś 3—5 kopiejek za funt.

Specjalny dział bazaru stanowi wyrąb mięsa, spotykany częściej latem, aniżeli zimą.

Przepisy kościelne prawosławne są nadzwyczaj srogie.

Kościół ten smaga swych wiernych licznymi postami, tak że większa połowa roku — to post surowy, podczas którego zjadają chleb, czaj, pierogi ziemniaczane, uche (zupę rybną) lub sielotkę (śledzia). Rzeźników w tym znaczeniu, co u nas, w mieście niema. Kirgiz wypasa bydło na stepie, zabija (kole) i przywozi podczas surowej zimy kadłuby wypatroszone i zmarzniete na bazar.

„Miaśniki“ (rzeźnicy) kadłuby te kupują dziesiątkami i setkami i lokują w obszernych, podziemnych lodowniach, przypominających olbrzymie sale. Podczas zimy zalewa się taką lodownię wodą na jakie pół metra i pozostawia na jedną noc drzwi otwarte; woda marznie aż do dna, a oprócz tego ściany posiadają zasieki napełnione lodem. Sufit stanowią grube belki drzewne, nakryte na grubość jednego metra ziemią. W takiej piwnicy przechowuje się zmarznięte kadłuby i co dzień koło północy w letniej porze wydobywa miasek dwie lub trzy sztuki do wyrębu. Mięso to sprzedaje się na pudy, a biedak kupuje pół puda (8 kg). Mięso to mimo żaru słonecznego powoli się rozpuszcza, a włókna jego są kruche.

Są i szopy z makuchami, hurtowne sklepy (ławki) z solą, budy z futrami (szubami i tołubami) i nieodzowne „ławeczki“ z „siemionami“ (nasienie słonecznika), najgłówniejszy przy, smak ludności rosyjskiej. Gdy kawaler idzie gulać, kupuje funcik siemiona i raczy nim swą narzeczoną, czy kochaną. Moskale rozmawiając, zręcznie jak ptaki łuszczą „siemionka“, a widok ten godny jest pendzla. Maładziec bierze do prawej ręki garść nasion i wahadłowym ruchem wrzuca po jedno „siemionko“ z wielką wprawą do ust, a te są jak żarna w bezustannym ruchu, przy czem łuski próżne wylatują z ust do twarzy i ócz bliźniego. Moskal nie żenuje się nawet w salonie i tam gości siebie i obecnych siemionem, a podłoga, obrus, krzesła i ławki pokrywają się odrazu próżnemi łuskami. Zamożniejsza ludność kupuje „konfeti“ (pomadki) i częstuje szczególnie pleć nadobną. Za dobre „konfeti“ można bardzo daleko i głęboko wejść w łaskę Rosjanki.

Obraz zimowy sybirskiego miasta byłby niepełny, gdybyśmy nie wspomnieli o przepięknej sannie na ulicy carskiej (główniej). Ulica główna kilka wiorst długa i odpowiednio szeroka zaludnia się w poobiedniej porze licznymi sankami. „Rosja gulalet“ i używa sanny.

Każdy prawie obywatel posiada konia i sanki; urzędnicy, profesorowie i nauczyciele trzymają dla siebie i rodziny konia, wóz i sanki. Saneczki są małe, gustowne i zgrabne, obijane i wyścielane kwiecistymi kobiercami perskimi. W sankach miejsca na osoby dwie i „izwoszczyka“, o ile jada „trojka“ — ale gulanie odbywa się zazwyczaj w jedynkę. Przy odgłosie dzwonek pędzą sanki za sankami szalonym kłusem co koń wyskoczy. Na końcu carskiej zawracają i dalej pędzą z powrotem tak kilka razy, a następnie z twarzami buńczukowemi zasiadają do czaju. Na stole stoi lśniący samowar, bułka pszenna, (carska), szynka, kielbasy, ryby i ciastka, jak w barze amerykańskim. Czaju popić, znaczy i dobrze podjeść, a w dowód szczególniejszej gościnności podaje gospodyn do czaju „warzenie“ czyli konfitury.

Moskale są na ogół gościnni, lecz bardziej dla obcych, aniżeli dla swoich, o których rzadko dobrze mówią. Wogóle w naturze Rosjanina leży wieczne psioczenie na wszystkich i wszystko. Inteligent skłonny do dzieciniego liberalizmu, chłop do wiecznego mędrkowania i blagi. Matka, Ojczyzna, wiara, narodowość, to pojęcia dosyć zniesławione, — a w każdej rozmowie zawarta jest krytyka, pogarda lub ignorancja.

Moskal dumny jest na wielką swą Rosję, na bogactwo bydła i zboża (chleba). Przestrzeni się nie lęka; pojęcie blisko znaczy od Uralu do Bajkału, — za Uralem i Bajkałem dopiero jest daleko.

I Moskal i koń jego są wytrwałe stworzenia i odporne na niewygodę oraz mrozy Sybiru. Przejechać sto wiorst na dobę nie jest nic szczególnego, ale przejechać sto pięćdziesiąt, to już brawura. Taka „trojka“ rosyjska potrafi bez wypoczynku przez dwie i trzy godziny kłusować. Moskal konia lubi bardziej od żony własnej; na konia świszcze i koń bez bata biegnie, — natomiast żonę częstokroć bije. Wogóle żona na wsi jest zgoła że niewolnicą, w mieście damą i nierzadko kokotą. Moskale, póki trzeźwi, są rycerscy i usłużni, — gdy tego popiją, wyłazi z nich bydlę, po rosyjsku „swołocz“ zwane, jak wiecheć z dziurawego buta. O charakterze rosyjskim mówi przysłowie rosyjskie:

Nabożeństwo w dzwonach,
Modlitwa w ukłonach,

Rozum w odzieży,
A życie w kradzieży.

Dzwonów rzeczywiście Moskale nie żałują. Gdy się rozpocznie dzwonięcie ogólne, to cudzoziemca czarna rozpacz ogarnia. Tak przy pogrzebach, jak i przy uroczystościach kościelnych dzwony biją całymi godzinami. Charakterystycznym jest sposób modlenia się, który polega na ustawicznym żegnaniu i kłanianiu się przed coraz to nowymi „ikonami“, między którymi górują święci Mikołaj i Jerzy.

Rosjanka zdradza w ubraniach rzeczywiście dużo rozumu. Ubiera się gustownie i praktycznie. Po miastach widać najnowsze fasony francuskie, a nawet zwykłe dziewczyny wiejskie, gdy z chłopcem idą do miasta na „pogulankę“, ubierają się jak damy.

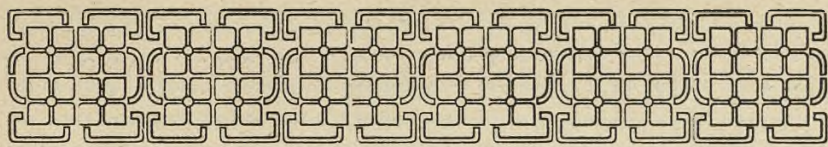
O ostatniej cnocie Rosjanina — skłonności do kradzieży — nie warto się szeroko rozwodzić, gdyż cnotę tę przyswoiły sobie po wojnie prawie wszystkie narody i będą musiały pójść na lekcję do Kirgizów i Tatarów, bo ci nie kradną.

Wogóle kultura na Syberji stoi daleko wyżej, aniżeli w środkowej i rdzennej Rosji. Pochodzi to stąd, że rządy carskie kwiat narodu i inteligencji zsyłały jako przestępców politycznych na Sybir, a ponadto ludność tubylcza, choć z pozorów dzika, góruje kulturą nad przeciętnym „kabanem“ rosyjskim.

Obok rzetelności odziedziczyli rosyjscy osadnicy i czystość od tubylczych Tatarów. Każdy chłop posiada własną „banię“ (łaźnię), gdzie dwa lub trzy razy w tygodniu kąpie się cała rodzina, zazwyczaj wspólnie, zażywając parówki i biczując się miotłkami z brzozy (wienoczki). Takie kąpiele rodzinne nie przyczyniają się do zachowania wstydlivosti i do wzmożenia autorytetu rodzicielskiego. Moskal jest niewybredny w wyrażaniu się, a gdy wyzywa, (ruga), to jedna obelga w całej Rosji znana (t. zw. „macierzenie“) powtarza się w kilkusetnych odmianach, natężeniach i modulacjach. Sam car pono w tym względzie nie różnił się od prostego „mucha“.

Miłość do tańca i śpiewu jest ogólną u Moskali. „Bałajka“ i „garmoniuszka“ to najulubieńsze instrumenty. Rosja jest nie tylko morzem Słowiańszczyzny, ale przede wszystkim prazdrojem pieśni słowiańskiej. Ileż to pięknych, smu-

tnych i wesołych pieśni śpiewa prosty lud wiejski! Śpiewa żołnierz, śpiewają djacy w cerkwi, śpiewa pop swe odwieczne: hospody pomyśluj! Każda rzeka, góra, miejscina, ba — każde drzewo, każdy kwiat i każdy stan posiada setki pieśni! Są niektóre z nich, które popularnością swą przechodzą przez granicę, a melodie ich czarujące stają się własnością salonów całego świata. Niemniej porywająco piękne są junackie tańce tak mężczyzn jak i kobiet. Chłopak dobrze tańczący ma za zwyczaj wielkie powodzenie u kobiet!



10. Pobyt w Ożoginie.

W Tjumeniu przebywałem pierwszy raz zaledwie dni siedemnaście. Apropowizacja wielkiej ilości jeńców sprawiała administracji wojskowej dużo kłopotów. Wielkiej posiadłości na Syberji niema; są tylko osiedleńcy rosyjscy, zajmujący się uprawą roli, a pozatem Kirgizi, Tatarzy, Bakczyry i wiele innych szczepów tubylczych, zajmujących się hodowlą bydła, rybołóstwem, polowaniem lub handlem. Chłop sybirski niechętnie wyzbywał się zapasów zboża, gdyż nauczony doświadczeniem częstych nieurodzajów, przechowywał je na czarną godzinę. Ażeby pociągnąć chłopą do jakichkolwiek świadczeń, wysłano jeńców na wieś dla przekarmienia ich. Chłop otrzymał dziennie z końcem roku 1914 ośmnaście kop. na utrzymanie jeńca. Nie było to mało, jeżeli się zważy, że za kwotę tę kupić można było cztery funty mięsa albo sześć funtów chleba.

Dnia 3 grudnia wysłano mnie razem z kompanją do wioski Ożoginy, położonej sześć km na południe od Tjumenia. Był to dzień mroźny i mglisty, śniegu już wówczas było wyżej kolan, toteż podróż nas zmęczyła. Przybyliśmy do wsi już po ómi. Prowadziło nas trzech konwojentów. Na początku wsi zjawił się starszy gminy i razem z żołnierzem po jednym, dwóch, trzech lub czterech lokował w poszczególnych chatach. Chłopi, którzy się sprzeciwiali, otrzymywali z reguły o jednego lub dwóch jeńców więcej. Przydział odbywał się podczas pochodu oddziału w ten sposób, że jeden żołnierz biegł naprzód, tłukł pięścią do bram, a gdy je otworzono, wepchał do nich po kolei jeńców z tyłu oddziału.

Przydzielono mnie razem z kolegą S. do zamożnego gospodarza, Aleksandra Fiodorowa, byłego długoletniego wójta

Ożoginy. Był to starzec 75-letni, żyjący razem ze swą 70-letnią staruchą samotnie w jednopiętrowym domku drewnianym. Pomimo wysokiego wieku był jeszcze rzeźki i razem z żoną pracował na swem gospodarstwie. Trafiliśmy właśnie na chwilę, gdy gospodarze razem z sąsiadami siedzieli przy herbacie, bo dzień cały młócili zboże na maszynie ręcznej. Dodać trzeba, że dzień przy młócce zaczynał się o 3 rano, a trwał z małemi przerwami na herbatę do godz. 6 wieczorem. Młocka odbywała się na polu, po ciemku przy siarczystym mrozie. Ziarno przechowywano w osobnych spichrzach i dopiero w lecie je suszono.

Ciekawe było przywitanie nas przez tychże młockarzy.

Zraziliśmy ich tem, że wchodząc, powiedzieliśmy tylko „Zdrowstwuje!” — a nie ukłoniliśmy się przed ikonem, umieszczonym w kącie izby naprzeciw wejścia.

„Jazeczniki“, odezwali się chórem, „nie krestjat sia!“ — (Pogany, nie żegnają się). Jeden z uczestników biesiady, jakaś zapita morda, opuchła i fiołkowo-czerwona, z zakrwawionemi oczyma, począł nam grozić: „Wy nie myślcie, że wy stąd wróćcie do domu; wy z bronią w rękę schwytani zostali na ziemi rosyjskiej, was tutaj car posyła na posilenie i wy do śmierci u chłopą pracować będziecie“. —

Obecni chcieli się dowiedzieć od nas wielu rzeczy, lecz my i nie wszystko zrozumieli, a mówić wogóle nam było trudno. Także język rosyjski na wsi różni się znacznie od języka literackiego, jak zresztą wszędzie na całym świecie. Nasza starucha zmierzyła nas złośliwym i łakomym wzrokiem, mówiąc: „Wiesz chleb nam zjedut!“ — Gospodarz mitygował ją i zapewniał, że „kazna“ wszystko zapłaci. Odołożyliśmy nasze skromne tłomoczki, gdy zaproszono nas do stołu. Podano herbatę, a dlaślody jedną czwartą część kostki cukru. Chleb pszenny był natomiast wspaniały! Do herbaty dała nam starucha jakieś jagódki czerwone, podobne wyglądem i smakiem do naszej jarzębiny. Było to tak zwane „warjenie“, czyli konfitura.

Młockarze się powoli rozeszli, pytając nas uprzednio o familię i rodzeństwo. Nazywałem się odtąd Iwan Pawłowicz, czyli „mniejszy Iwan“, zaś kolega mój Iwan Andrejewicz, czyli „większy Iwan“. Pościelono nam w kuchni obok kur dwa stare kożuchy na podłodze i tutaj sypialiśmy prawie przez miesiąc.

Następnego dnia obudzono nas zbyt wcześnie. Bolszy Iwan skonstatował, że dopiero godzina trzecia. Starucha wytłumaczyła mu, że to wszystko jedno. „U nas na wsi to nie kancelarja ani urząd: kiedy wstajesz — ładno, a kiedy pojesz — haraszo!“

Wstaliśmy i pokrzepiliśmy się herbatą. Powoli schodzili się młockarze, ale już mniej o dwóch, jak poprzedniego dnia, bo nas zaproszono do młocki.

Trudno się oswoić z temperaturą sybirskiej nocy; ale skończyliśmy się chwycili pracy, to się nam i z czupryny zakurzyło. Moskale, gdy pracują na akord albo u sąsiada na odróbkę, nateżają wszystkie swe siły i doprawdy trudno im dorównać. Zazdrośnie też kontrolują, by współpracownicy nie ociągali się zbyt długo. Wieczorem trudno było zebrać kości nasze, aleśmy spali zato jak susły! Młócenia starczyło jeszcze na dzień drugi. Starucha tymczasem napaliła w „bani“ (kapiel parowa, mieszcząca się w osobnym budynku, a stanowiąca dumę każdego chłopca sybirskiego).

Kapiele przejęli koloniści rosyjscy od tubylczej ludności mohamedańskiej. Nasz gospodarz okapał się najprzód ze swoją staruchą, a potem do nas tak przemówił: „Rebiatizka, zachaditie w baniu, nada okupać sia. Doma, wot doma; ale w dorodze chużej: i gołod i chołod i wosz stolka kak prosie“. — („Chłopaczki, idźcie do parówki, trzeba się wam okapać! W domu, jak w domu, — ale w drodze jest gorzej: i głód i chłód i wesz się znajdzie taka jak prosie“).

Rzeczywiście że kapiel była nam bardzo potrzebną, bo od miesiąca różne stworzonka zagościły się u nas na dobre. Wypiekliliśmy ubrania i bieliznę i wyzbyliśmy się tego paskudztwa. Trzeciego dnia obudził nas gospodarz i przy śniadaniu nam powiedział: „Rebjatizka, pojedzicie w ljes“. Wy-mawialiśmy się, że drogi nie znamy, że bardzo zimno, że ciemno, ale to wszystko nic nie pomogło. Starucha podała herbatę, nałamała sporo chleba, szczypcami rozdzieliła jedną kostkę cukru na czworo i zasiedliśmy do śniadania. Na podwórzu dwa konie już były zaprzęgnięte w dwoje sanek, wiązka słomy i topór: oto cały przyrząd wyprawy. Gospodarz wyjaśnił nam, że konie dobrze znają drogę do lasu gromadzkiego. „Gdzie stanie koń w lesie, tam bierz topór i rąb!“

Lasy na Syberji należą do całej gromady i każdy osiedle-

niec może rąbać, ile mu potrzeba i ile potrafi wywieźć. Jest to przeważnie rzadka brzezina, która sama się mnoży i porasta tajgi sybirskie.

Każdy osiedleniec na Sybirze otrzymywał dla siebie i żony 15 dziesięcin ziemi ornej (około 15 hektarów), a na każdego chłopaka otrzymywał z ziemi gromadzkiej dalszych pięć dziesięcin. Na córki nie otrzymywał nic, ale zato dorosłe córki tem drożej sprzedawał. Za dorodną córkę można było uzyskać dwa konie, trzy krowy i kilkanaście owiec lub świń. Przy zalotach (istych) długo i namiętnie się targowano, gruntownie popito, a w dodatku nawet batalje staczano. Im gorętsze zabiegi, tem większy splendor dla młodej panny. Co kraj, to obyczaj!

Gospodarz odchylił wrota i świsnął dwa razy, a konie lekkim truchcikiem ruszyły z podwórza, myśmy przykucnęli na wiążkach słomy. Noc była gwiaździsta, mróz palił jak z pieca. Jechaliśmy tak może wiorst piętnaście przez zaśniewione łąki i pola, dopóki konie nasze nie stanęły w zalesionej tajdze. Bylibyśmy po drodze niezawodnie zmarzli, gdyby nie pomysł nasz oryginalny. Dla rozgrzania się zaczęliśmy śpiewać, a więc: „Pije Kuba do Jakuba, Bartosza, Przybieżeli do Betlejem“, wogóle cały repertuar pieśni ludowych, narodowych, żołnierskich i kościelnych, jaki nam był znany. Susły i gronostaje z pewnością zadziwiły się temu dwuśpiewowi Iwana mniejszego i większego.

Stanęliśmy nareszcie w brzezynie. Nogi zesztyniały, więc rozpoczęliśmy od wilczego i niedźwiedziego tańca. Chleb zabrany na posiłek zmarzł nam jak kość. Chwyciliśmy za topory i rozpoczęliśmy pracę. Śniegu było w pas; nie troszczyliśmy się zbytnio o to, ścinając brzozy na wysokości poziomu śniega. Ścinano brzożki młode do dwudziestu, najwyżej trzydziestu cm grubości; gałazki pozostały w lesie, a dwadzieścia do trzydzieści pniaczków oczyszczonych ładowano na jedne sanki. Naładowanie dwóch sanek kosztowało sporo trudu; tymczasem słońce zeszło, cokolwiek nas ogrzało i dosyć rychło chyliło się ku zachodowi. Dzień zimowy w tej strefie na Sybirze trwa niespełna sześć godzin. Było trzeba wracać, tembardziej, że z ciężarem konie mogły iść tylko krokiem. Gdy powróciliśmy do domu, gospodarze pochwalili nas za naszą sprawność i po herbatce nakazali nam porznięcie przywiezionych drzew i ułożenie ich do stosu.

Odtąd jazda do lasu stała się naszym codziennym zajęciem. Wyprosiliśmy od gospodarza jeden „tołub“ (futro długie aż do stóp) i jedną „pólszube“ i tak zmieniając się codzień, dzieliliśmy się ciepłem na mroźnym Sybirze.

Pewnego dnia mieliśmy omal nie groźne zajście z chłopami sybirskimi. Rąbaliśmy jak zwykle nasze brzozy, gdy pewien chłop z toporem przybliżył się do nas i taką rozmowę z nami rozpoczął: „Wy od tego starego psa Aleksandra Fjodorowa? On ma taką dużą szkatułę złota, a was biedaków nie odzianych i głodnych do lasu wysyła! Tutaj las gromadzki, należy do wszystkich chłopów, ale nie do jeńców wojennych. Niechaj stary pies sam rąbie, ile mu potrzeba, a wy, gdy jeszcze raz tutaj przyjedziecie, to wam, ot!“ To mówiąc, zagroził nam toporem i splunął.

Opowiedzieliśmy to zajście naszemu gospodarzowi, a syn jego, wójt, odszukał chłopą grożącego i sprawę z nim ugodowo załatwił. Nie wszyscy jeńcy byli tak jak my ochotni do pracy, a my sami dopiero za trzy tygodnie dowiedzieli się od wojeńskiego naczelnika w Tjumeniu, że nas nie posłano na roboty, ale tylko na przekarmienie. W rzeczy samej opór nie bardzo się opłacał, bo chłopci pieniądze za wyżywienie chowali, a opornych jeńców za pomocą głodu zmuszali do pracy. Niektórzy tylko potrafili się z tego narzuconego obowiązku wykić. Był jeden „frajter“, który żył z wróżbiarstwa i kładzenia kart; spełniał on równocześnie rolę wołosnego listonosza. Wiedział oczywiście, kiedy jaka kobieta list od męża z frontu lub niewoli otrzymała, listy te po kilka dni zatrzymywał u siebie, a zapomocą kart prorokował, czy mąż zdrów, ranny, zabity lub w niewoli. Proroctwa spełniały się co do joty i wkrótce zyskał wielki rozgłos. Ciemnotę tę możnaby wiązać w snopy.

Wsie sybirskie różnią się od siebie nietylko wyglądem, ale i kulturą. Są takie, które miały szczęście gościć u siebie zesłańca o wysokiej kulturze i wytrwałości w pracy. Taki nauczył ludność nietylko czytać i pisać, ale także i różnych gałęzi pracy, a nawet i robót artystycznych. Widziałem w Ożoginie wyrób makat gustownie wykonanych z łyka. W innej wiosce mieszkali sami szewcy, tak że powstało przysłowie: „Rzuć na psa kamieniem, a w szewca trafisz!“. W innej znowu byli sami pijacy z opuchniętymi twarzami i bez

koszul. Ludność posiada dużo zdolności i dobrej woli, brak tylko systemu szkolnego i wychowawczego, brak także głę-



Las gromadzki należy do chłopów...

bokiej religijności, jaka cechuje nasz lud wiejski. Chłop rosyjski przeżył sam siebie i swoją przyszłość, podobnie

znajdująca się w nielicznych skupieniach, świętuje zazwyczaj razem z prawosławnymi.

Dnia 27 grudnia poszliśmy, jak zwykle co niedzielę, do kościółka w Tjumeniu. Po drodze omawialiśmy sposoby, jakby się wydostać ze wsi do miasta. Wstąpiliśmy do wojeńskiego naczelnika Dimitrijewa. Z wielkim respektem i pokorą czekaliśmy w sieni na jego przybycie. Zajechał trójką i zamasyście wpadł do sieni. Zapytał się nas, czego sobie życzymy, wobec czego zaczęliśmy po rosyjsku: „Wasze wysokie Błahorodie! Rozrzeszicie nam iz derewni w gorod itti!“ Gdy się dalej wy-
pytywał o przyczyny, zabrakło nam języka rosyjskiego, a on, zmiarkowawszy po akcencie, wybawił nas z kłopotu, mówiąc: „Panowie Polacy, mówcie po polsku!“

Zaprowadził nas do kancelarii, poprosił siedzieć i wypytawał o stosunki na wsi. Dowiedzieliśmy się, że nie byliśmy wcale zobowiązani do pracy fizycznej i że się nam za naszą pracę należy nagroda. Prośbę naszą chętnie uwzględnił i polecił nam, byśmy rzeczy nasze zabrali i na drugi dzień do miasta przybyli. Prosiłszy go o papier jakiś, obawiając się słusznie, że nas gospodarz nie puści, ale on podniósł głos i rzekł: „Skażitje im, czto wojenski naczałnik prikazał!”

Podpułkownik Dimitrijew przez długie lata służył w Sandomierzu i pochodził z matki Polki, stąd też znał doskonale język polski. Opowiadał nam: „Mnie na akademji w Piotrogradzie powszechnie małym „Polaszkom“ zwano“.

Odetchnęliśmy po tym wyroku i serdecznie mu podziękowali. Mogliśmy wrócić do naszej jednorocznej rotacji, do kolegów i do naszego ukochanego chóru. Taksamo koledzy cieszyli się.

Sprawa nie była jednak tak prosta, jak się wydawało. Gdyśmy naszemu gospodarzowi powiedzieli, że na drugi dzień odejdziemy do koszar, starucha pierwsza zaoponowała twierdząc: „Brieszut, kak sobaki; ty ich nie puskaj!“ Gospodarz wprawdzie przeczuwał, że coś na tem musi być, ale starucha nie dała mu spokoju i posłała go do syna — wójta.

Zjawił się wkrótce syn z pisarzem i zażądał od nas „bumagi“ woj. naczelnika. Bumagi nie było i sprawa jakby przypadła. Tłumaczymy na prawo i lewo, ale nikt uwierzyć nie chciał. Zagroziliśmy, że uciekniemy, wtedy powiedział nam wójt bez ogródek, że każe do nas strzelać. Jemu oddano

pewną liczbę jeńców i on jest za nich odpowiedzialny wobec władz, a jeżeli te chcą kogoś do miasta powołać, to on nic nie ma przeciw temu, skoro tylko „bumagę“ przysła.

„Zgoda! Bumagę jutro przyniesiemy“.

„Dobrze, ale ja nie mam prawa was do miasta przepuścić“.

Byliśmy w błędnym kole i bliscy rozpacz. Wtedy przypomniały mi się słowa i to wojeńskiego naczelnika, wobec czego przybrałem pozę i ton przełożonej władzy i ostro, śmiało zawołałem: „Etoż wojenski naczałnik prikazał!“

Słowa nie chybiły skutku, ale na razie jeszcze starucha nie dała za wygraną. Przez całą noc kłóciła się z gospodarzem, a on ani mru, mru!

„Ty byłąś głupi, puszczając tak dobrych robotników do miasta, wszak jest wojna i dwaj twoi synowie biją się za Rosję, a ty stary wójt nie miałbyś prawa korzystać z usług jeńców? Powiedz im jutro, że im kupisz nowe rękawice, a sami zostaną“.

Spaliśmy niespokojnie całą noc, bo się losy nasze ważyły. Starucha zużyła całą jej wymowę, ażeby męża skłonić do pogwałcenia rozkazu woj. naczelnika.

Stary żołnierz Aleksiej Fjodorów wiedział dobrze, co znaczy sprzeciwianie się woli wojeńskiego naczelnika. Rano, koło godziny siódmej, obudził nas i z uśmiechem oznajmił nam, że jedziemy do miasta. Starucha początkowo milczała, ale przy śniadaniu zaproponowała nam zakupno „perczatek“. Uśmiechnęliśmy się na tę propozycję i zjedli ostatnie śniadanie w chacie „czałduna“.

Za całą naszą prawie miesięczną pracę otrzymaliśmy po „wienoczku“ pszennego chleba. Starucha, widząc swoją przegraną, pożegnała nas z uśmiechem i życzeniami rychłego powrotu do Ojczyzny.

Na podwórzu stał już ogier zaprzęgnięty w świąteczne sanki; gospodarz odwoził swe ukochane rebrjatiszka do Tju-mentia. Po drodze mówił nam różne komplementa, wyrażając swe zadowolenie z naszej wiernej i bezinteresownej służby.

Na czym właściwie zakładało się nasze niezadowolenie? Chłop na Sybirze, a zdaje się i w całej Rosji, jest niesłuchanie chciwy i potrafi bezbronno go jeńca wyzyskać do ostatniej kropli krwi. Przy naszej pracy leśnej ubrania nasze mocno

się niszczyły, a gospodarz nasz nie pomyślał o tem, by kupić nowe. Nawet tołuby i szuby niechętnie nam pożyczał i miał sumienie gnać nas przy 35 stopnia R o trzeciej rano do lasu. Wobec tego straszego wyzysku pozostała nam tylko ucieczka do miasta.

Czekaliśmy dosyć długo na woj. naczelnika. Gdy przyjechał, poznał od razu nas i naszego gospodarza i tak się do niego odezwał: „Aleksander Fjodorow, ty stary pies! Na skolko u tiebja dzienieg i zołota jes? I tobje nie sowiestno etych wojenno pliennych w etoj adzieżdzy na raboty do liesa taskać? Ty iz kazny nie połączyl dzienieg na prokormlenie etych ludzej? Swołocz ty parszywaja, zaraza ty, tfu!“ — („Aleksandrze Teodorów! Ty stary psie! Ile u ciebie pieniędzy i złota jest? I ciebie sumienie nie boli, gdy tych jeńców wojennych w tej lichej odzieży do lasu na roboty pędzisz? Czy ty od skarbu nie otrzymujesz pieniędzy na wyżywienie tych ludzi? Bydle parszywe, zarazo, tfuj!“)

Aleksander Fjodorow zgął się we dwoje i wystękał tylko: „Winowat, wasze wysokie błahorodie!“ — Pożegnał się z nami, a nas odesłano do pułkowych koszar, gdzie rozdzieliliśmy ciężko zapracowany chleb pszenny między naszych kolegów. Rozpoczęliśmy nowe towarzyskie życie, a w żartach wspominaliśmy złośliwą i łakomą staruchę z Ożoginy. A, jazwa! Tfu!

Poznaliśmy zresztą tanim kosztem wieś sybirską i jej mieszkańców. Jak tam obecnie wygląda, jakie porządki panują w tej wiosce, gdzie już 30 lat przed Leninem był gromadzki las i gromadzka ziemia, instytucje carskiego rządu?

Egoizm chłopski tylko udzielił się komisarzom sowieckim!



11. Życie w Tjumeniu.

Człowiek prosty lepiej znosi niewolę aniżeli inteligent, ponieważ łatwiej oswaja się z przeciwnościami przymusowego położenia. Życie beczynne, próżniacze demoralizuje niesłychanie ludzi przywykłych do umysłowej pracy; natomiast robotnik prosty znajdzie sobie byle jakie zajęcie, zabije czas i zachowa zdrowie.

Pracy stosownej dla inteligentów było w niewoli stosunkowo mało, natomiast praca zwykłego robotnika była pożądaną, a rzemieślnicy byli wprost rozchwytywani.

Zorientowałem się rychło w sytuacji i podejmowałem się wszelkiej pracy, jaka się nadarzała.

Z początku traktowano jeńców Słowian wyjątkowo przychylnie, później wyróżniano z pośród Słowian te narodowości, które tworzyły oddziały ochotnicze po stronie Rosji, jak: Serbów i Czechów, natomiast Polaków traktowano jako zdrajców Słowiańszczyzny. Do tego należy dodać przysłowiową niezgodę między Polakami, którzy nawet w niewoli tworzyli grupy i grupki wzajemnie się zjadające. To wszystko wytworzyło taki zamęt, że życie w niewoli stawało się chwilami piekłem dantejskim.

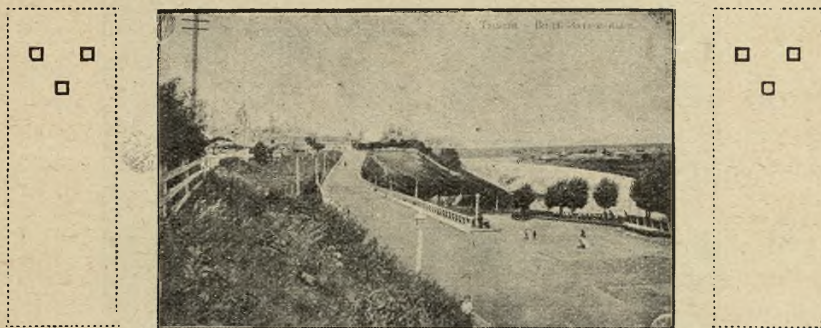
Wśród takich warunków szczęśliwy był ten, który zajął się pracą choćby fizyczną i uciekał z obozu, dopóki to było możliwe.

Podczas półtoraletniego pobytu mego na Syberji zamiatałem ulice, czyściłem podwórze, rąbałem drwa, prasowałem siano, pracowałem w ogrodach, u tokarza, cukiernika, w dokach, we fabryce zapalek, u kupców, uczyłem się chwilowo szewstwa i krawiectwa, przepisywałem nuty, uprawiałem muzykę i śpiew, budowałem scenę, urządzałem przedstawienia, uczyłem języka niemieckiego, matematyki, — nawet rosyjskiego, śpiewałem w kościele, czytelni i na weselach, trudniłem

się handlem drobnym, czytałem dużo, pisałem wiele, uprawia-
łem politykę i pocieszałem tych, którzy zwątpili o powrocie
do Ojczyzny i popadali w czarną melancholię.

Pośród tak różnorodnego zajęcia, które musiałem ciągle
zmieniać, bo stałej roboty na dłuższy czas nie było, czas do-
syć szybko upływał, a pomimo fatalnych stosunków hygie-
nicznych, jakie w koszarach i obozie panowały, zachowałem
zdrowie i humor.

Puszczano około tysiąc jeńców na miasto i ci codziennie
szukali dla siebie zajęcia. Pukano czasem do dziesięciu miejsc,
nim się robota znalazła. Spotykałem ludzi o gołębih sercach,



Bulwar nad Tjumeńką.

k którzy współczuli z jeńcami i więcej im dawali, aniżeli usługa
ich była warta, lecz byli i także wyzyskiwcz, którzy marnie
płacili i traktowali nas jako ostatnią hołotę.

Oto kilka epizodów, które najlepiej zilustrują te stosunki:

Pierwszą pracę znalazłem u prof. Stanisława Karłowicza
razem z kol. S. i M. Czyściliśmy podwórze ze zamarzniętych
lodów i różnej rupieci. Na wstępie poczęstowała nas gospoia
„czajem“, do którego należała pyszna bułka, mięsiwo, szynka
i konfitury. Wypiliśmy po cztery szklanki herbaty i zabraliś-
my się z metodą do pracy. Za godzinę podano obiad suty,
a w dwie godziny później ponownie „czaj“. Byliśmy tą biesia-
dą zameżeni na śmierć, bo trzygodzinna praca nie dała się
nam we znaki. Gdyśmy do koszar wracali, trzymaliśmy się co
chwila płotu, ażeby cokolwiek odsapnąć. Praca trwała tylko
dwa dni, a gospodarze poznali, że nie jesteśmy „czarnorobo-
czymi“. P. Karłowicz powitał nas jako kolegów, a żona jego,

bardzo czuła Rosjanka, wstydziła się, że nam pracę taką powierzyła. Zapraszali nas oboje w gościnę, z czego tylko raz skorzystaliśmy.

P. Karłowicz był synem powstańca i emigranta polskiego z r. 1863, wychował się we Francji i przyszedł jako profesor



Grupa jeńców nauczycieli ze Śląska w Tjumeniu.

francuskiego języka do Rosji. Tę sprawiedliwość musi się oddać Moskalom, że do nauk obcych języków brali profesorów z obczyzny, a więc niemieckiego uczyli rodowici Niemcy, francuskiego Francuzi, a gimnastyki — Czesi, — pono najlepsi linoskoczkowie.

Ledwie uniknąłem pchnięcia, gdy córka Tatjana podskoczyła, wyrwała S. szablę i spoliczkowała go, besztając: „Wy durak, was nie wstyd bezbronnego jeńca z bronią w rękę napadać? — Jedź Pan na pozycję, a tam Pan Germańców zabijaj!”

Zapanowała grobowa cisza. S. zakłopotany stał z wytrzeszczonymi oczyma, roześmiał się i zaczął bełkotać: „Izwinitie, ja nastojaszczy durak.” — Wszyscy się roześmiali, S. ucałował rączkę p. Tatjana, wypiliśmy po dwie kolejki czystej na zgodę i incydent był załatwiony.

Miałem pozatem u p. Babailówny, urzędniczki pocztowej, lekcję języka niemieckiego. W r. 1915 wszystko uczyło się języka niemieckiego ze strachu, że Niemcy dojdą aż do Uralu.

Pozatem chodziłem do studenta Iwanowa na konwersację niemiecką. Pieniądzy wprawdzie nie płacili wiele (po 5, 3 i 2 rb. mies.), ale zato musiałem po każdej lekcji wypić herbatę. Trzy herbaty za pół dnia to trochę za dużo na żołądek jeńca.

Przedpołudnie spędzałem na robotach fizycznych, a w rąbaniu drwa doszedłem do wielkiej perfekcji.

Mieszkiałem w pułkowych koszarach, później w fabryce skór Sobiennikowa.

„Zawod Sobiennikowa“ była to nora śmierdząca, składająca się z kilku pawilonów, gdzie królowały szczury, pluskwy, wszy i pchły. Kadzie napełnione skórami, odpadki gnijące i zakażające powietrze, zaduch w barakach drewnianych — nigdzie kąta wolnego i przyzwoitego, gdzieby usiąść można, lub przejść się podczas nudnej niewoli — oto obraz nędzy i rozpacz.

W tych warunkach pisałem pierwsze nowele i sztuki teatralne na Sybirze. Dnia 16 marca 1915 r. przesiedliłem się wraz z innymi jedenastu kolegami do pp. Karnacewiczów, gdzie mieszkaliśmy szczęśliwie do 14 maja tegoż roku.

Wymknęliśmy się cichaczem z fabryki Sob. w porozumieniu z feldwebłem Boczkarowem, który co tydzień pobierał od nas 3 rb. łapówki. Byliśmy na tyle bezczelni, iż, pracując w mieście, posyłałiśmy sobie codziennie po wikt do koszar.

Pp. Karnacewiczowie odstąpili nam bezpłatnie chatkę, położoną w ich ogrodzie o czterech pokojach i kuchni. Nazwaliśmy kwaterę naszą „Strzechą“.

Dobrze nam było w tej „Strzesze“, tak że nam koledzy, pozostający w obozie, zazdrościli. Chodziliśmy do pracy, ćwiczyli się w muzyce i śpiewie, czytali książki, uczęszczali do teatru i odwiedzali znajome rodziny polskie w mieście.

Nasza pocziwa „babuszka“ i pani Karnacewiczowa urządziły nam niejedną niespodziankę. P. dr. Karnacewicz często nas do siebie zapraszał. Był to czcigodny 80 letni staruszek, powstaniec i osiedleńiec z r. 1863, pochodzący z Litwy.



Powstańcy z 1863 r. w Tjumeniu; drugi z lewej strony Dr. Karnacewicz.

Gdy powstanie wybuchło, rzucił medycynę i chwycił za karabin. Ranny dostał się do niewoli, a po wyzdrowieniu przeszedł etapem całą Rosję zakuty w kajdany, które nosił przez lat piętnaście.

Rana na rękę nigdy się nie zagoiła od mankiet żelaznych łańcucha, zdaje się, sześciofuntowego.

Gdy przyszedł do Moskwy, jakaś patriotka rosyjska darowała pięć tysięcy kajdan dziesięciofuntowych rządowi carskiemu, ażeby „miałieżników“ poskromił. O tem i innych zdarzeniach często nam opowiadał.

„Rozkuto nam „kazionne“ kajdanki i zakuto nas do patryjecznych kajdan, karmiono nas zgniłą rybą, pozostawiono nas na pastwę chorób i robactwa za naszą miłość do Ojczyzny.

Jak się Panom podoba?“ —

zwolenie otrzymała. Narzeczonzy przebywał wówczas na kar-
nych robotach na Kaukazie. Przez dwa lata go szukała i na-
reszcie znalazła. Wzięli ślub i przez lat piętnaście z rotami
aresztanckimi razem prowadzili życie tułaczę, dopóki nie
uwolniony osiedlił się w Tjumeniu jako ogrodnik. P. Rybiński
był synem właściciela dóbr, studentem uniwersytetu; p. Ry-
bińska pochodziła z zamożnego domu ziemiańskiego na Li-
twie. Resztki dni żywota swego poświęciła pomocy jeńcom,
rozdzielając szczerą ręką może więcej, aniżeli ją było stać.

Dom pp. Karnacewiczów prowadzono w tradycji polskiej, mówiono czystą polszczyzną i przestrzegano obyczajów polskich.

Gdy syn najstarszy ożenił się „na popadajance“, rodzice czynili mu gorzkie wyrzuty, a ojciec nie chciał przyjąć synowej do domu. Syn przyrzekł, że żonę do roku wyuczy języka polskiego, a żona zobowiązała się przejść na katolicyzm, co w r. 1915 było już wolno i dopiero wtedy uzyskał syn przebaczenie ojca. Nie muszę dodawać, że przyrzeczeń danych dotrzymali.

Młodszy syn, ulubieniec matki, prowadził wesołe życie na uniwersytecie i jak prawie wszyscy rosyjscy studenci, ożenił się „na koleżance“, taksamo córce popa. (W Rosji żenia się „na koleżance“, a nie z koleżanką.)

Rzecz charakterystyczna, jak o tem znamiennym fakcie powiadomił swą matkę ukochaną. W liście przydługim pisał o wszystkim możliwem, a na końcu jako post scriptum dodał: „Byłbym Ci zgoła zapomniał donieść, że ożeniłem się z bardzo miłą koleżanką N. N., córką popa“.

Rodzice byli skonsternowani, bo planowali mariaż z p. Matuszewicówną, której ojciec zmoskwiczony już w drugim pokoleniu był naczelnikiem Urzędu skarbowego. Dziwna rzecz, że Matuszewicze, pochodzący również z Litwy, nie mówiąc po polsku, czuli się Polakami i katolikami. Krew polska przez drugie pokolenie odżywała się.

P. Karnacewiczowa napisała do synka list pełen wyrzutów. „Zapominasz krzywdę, jaką Moskale wyrządzili ojcu; wchodzisz w rodzinę obcą, zatracasz język i kulturę, zatracasz przeszłość i wiarę. Wiesz, że życzeniem naszym jest, byś poślubił Matuszewicówną; znasz rodzinę i córkę, wiesz, jaka przyjaźń wiąże ojca Twego ze starym M. — Nie wyobra-

Niepowodzenia armji rosyjskiej w Karpatach wiosną 1915 roku przyczyniły się do znacznych ograniczeń, a nawet represji w stosunku do jeńców wojennych.

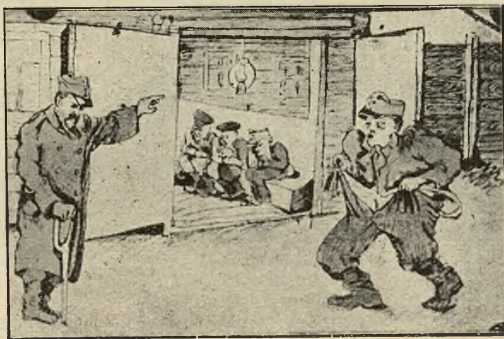
Pożywienie było coraz to szczuplejsze i gorsze. Gdy z końcem 1914 r. jeniec otrzymał funt mięsa dziennie (40 kg), a relutum na osobę wynosiło dziennie 23 kop., to w maju 1915



Obiad w letniej porze.

r. porcje mięsa zmniejszono do ćwierć funta, a relutum spadło powoli na trzynaście, siedm i pół aż do pięciu kopiejek.

Równocześnie rosła drożyzna, a jakość podawanej strawy psuła się fatalnie. Od 12 lipca 1915 r. funt mięsa przypada już na dziesięć ludzi, porcje kaszy zmniejszono, a kraszono ją



Epidemja w obozie.

wstrętnym i zepsutym tłuszczem baranim. Herbaty i cukru wcale już nie dawano, a chleba, sporządzanego z mąki stęchłej, rozmyślnie nie dopiekano. Skutek był taki, że tyf brzuszny

Szpital wojskowy był w lecie stale przepełniony. Urządzenie było prymitywne, opieka żadna przy braku wszelkich środków leczniczych. Poza jodyną i dermatolem lekarstw innych nie było; były to uniwersalne środki lecznicze na wszelkie bóle.

Cośmy w ciągu tego jednego miesiąca przecierpieli, trudno opisać. Dla nas szczególnie po sielankowym życiu w „Strzeże” miesiąc ów trwał całe wieki.

Przyszło nareszcie zbawienie spowodowane czystym przypadkiem. Pierworodni od czasów Piotra Wielkiego zwolnieni od służby wojskowej zostali ukazem cara w r. 1915 powołani pod broń. Co to za okazy te sybirskie chłopcy! Niechętnie poszli i niechętnie spełniali obowiązki. Karmiono ich taksamo jak nas: zgniłą rybą i niedopieczonym chlebem, tak że nareszcie wypowiedzieli posłuszeństwo.

Istniał w armji rosyjskiej zwyczaj, że oficer podchodzący do oddziału zagadywał: „Zdarowie rebiata!” Na to żołnierze odpowiadali w takt gromkim chórem: „Zdarowie żelajem Wasze błagorodie!” — Według siły tej odpowiedzi osadzano dobry lub zły nastrój żołnierzy. W razie buntu żołnierz zbywał milczeniem pozdrowienie oficera.

Taki właśnie bunt wybuchnął między pierworodcami w Tjumeniu, a generał Suchomlinow, komendant omskiego wojsk. okręgu, brat osławionego ministra wojny, przyjechał, ażeby bunt uśmierzyć.

Przy tej sposobności zwiedził także naszą „liesopiłkę” i wysłał nas z powrotem do koszar, a w miejsce nasze przeznaczył oddział pierworodnych.

Na „liesopiłce” był komendantem feldwebel Poronin, były żandarm objeszczyk, dzika i potworna bestja, który dla sportu bił jeńców w twarz i kopał nogami, gdzie wypadło. Później udawał inteligenta i zachodził do nas do koszar, ażeby czajku popić. Przy tej sposobności wynurzał swoje filozoficzne poglądy w rodzaju tego, że nasze prawa pozostały w Austrii.

Trudno odtworzyć jego ordynarny kwiecisty styl, który rozpoczynał słowami: „Ty nie dumaj, ty z orężem w rękę przekroczył granice Rosji”, poczem następowały wymyślenia.

Pytaliśmy go o los „pierworodców”, na co machnął ręką i z djabelskim uśmiechem mówił: „Dochnut, kak sobaki!” (Zdychają jak psy).

Ten analfabeta i wierny stupajka carski miał dziwną pamięć co do osób przebywających w obozie. Po „liesopitce“ otrzymał komendę nowo wybudowanego obozu za miastem, mieszczącego do 10.000 jeńców.

Codzień wypuszczano z tego obozu około 150 jeńców do miasta bez przepustek. Ustawiało się kilkadziesiąt do raportu, a feldfebel P., przechodząc koło frontu, wyciągał za kłapy surduta tych wybranych, którym pozwalał pójść. Biada temu, który, licząc na słabą pamięć jego, odważył się pójść samowolnie. P. myszkował koło wyjścia i śmiełków takich pedził



Czytanie rozkazu (powierka) — feldwebel Poronin.

do obozu, bijąc i kopiąc. Mimo wszystkiego ten brutal posiadał i dodatnie cechy charakteru. Serbom i Czechom wybaczyć nie mógł, że oni przysięgę wobec cesarza złożoną łamali, wstępując do ochotniczych Legionów przeciwko Austrii. — „Wsio taki, raz izmienił Franca Josipa, izmienił sukinsyn i carja batjuszkę“. (Jednakowóz, raz zdradził Franciszka Józefa, zdradzi także i cara batjuszkę.) — Może miał i rację, jak to późniejsza historia Legionów wykazała.

Raz omal nie wpadłem w ręce tego brutala. Kupiłem nowe obuwie od pewnego Bośniaka jeńca, co było surowo zakazane. P. dostrzegł mnie i popędził za mną. Sprawa wartała wyścigów, bo obuwie podlegało konfiskacie, a ja doraźnemu ukaraniu. Udało mi się uciec, ale P. zapamiętał sobie moje ręce nogi i długi czas nie pozwalał mi pójść do miasta. Miałem przynajmniej dobre i tanie buty.

W każdej rocie komendantem był nasz feldfebel, a miał do asysty czterech ros. konwojentów. Byli to starzy rezerwi-

gromady i przestrzegali wojskowej dyscypliny. Między nimi był także 17-letni ochotnik student z Królewca, znany powszechnie „maleńki Germaniec“. Był to chłopak nadzwyczaj wesoły i ochoczy. Po rosyjsku nauczył się tylko kilka wyrazów, którymi w najdziwniejszych odmianach operował. Gdy prowadził rozmowę z ruskim żołnierzem, kłaść się można było ze śmiechu. Pewnego dnia stał z baką (t. j. misa wielka, przeznaczona na barszcz dla dziesięciu) w kolejce koło kotła. Gdy z napelnioną już wrzącym barszczem spieszył do stołu a stanął mu w drodze ruski żołnierz, krzyknął na niego: „Dawaj dorogę!“ — Żołnierz uderzył go pięścią w szyję.



Obiad zimową porą. (Mały Germaniec.)

a Germaniec, nie zwlekając, wylał mu całą zawartość misy w twarz. Żołnierz ryknął z bólu, wyczesywał kapustę z długiej brody, gdy tymczasem inny karaul z bagnetem w ręku uganiał się za odważnym Germancem. Byłby go niezawodnie zakłuł na śmierć, aleśmy go wzięli w obronę, tłumacząc rozjuszonemu Moskalowi, że on przecież mały i głupi. Na to odpowiedział: „Da mały, ale Germaniec!“ — Przesiedział się dni czternaście w kozie i wrócił z dawnym humorem do roty.

Obóz dla jeńców za miastem tak zwany „łagier“ składał się z dwudziestu baraków drewnianych przez jeńców niemieckich zbudowanych. Ze względu na wielkie chłody w porze zimowej baraki te wpuszczone były blisko metr w ziemię. Każdy barak składał się z dwóch wielkich sal mieszczących po dwieście pięćdziesiąt jeńców. Nary były staranniej wykonane aniżeli w poprzednich pomieszczeniach; deski były heblowane, a pod głową w miejsce poduszki była deska pochy-

lona. Sienniki mało kto posiadał, bo zarząd obozu niechętnie godził się na wygody jeńców. Przeważna część tychże cały czas niewoli sypiała na deskach gołych. Cały majątek przeciętnego jeńca mieścił się w „brotzaku“, który służył również za poduszkę; płaszcz służył jako okrycie. Temperatura w porze zimowej nie przekraczała zera, stąd wiele jeńców prawie całą zimę sypiało w obuwiu. Do tych prymitywnych urządzeń należały cztery lampki świecące w czterech kątach sali. Wiele jeńców posiadało własne lampy i lampeczki oraz samowary naftowe lub spirytusowe, tak zwane prymusy. Rzeczy te były surowo wzbronione, a mimo to przepisy te, jak prawie wszystkie inne stale ignorowano.

W obozie znajdowała się kantyna, w której sprzedawano chleb, bułki, kiełbasę, masło, kwas, ciastka i inne artykuły spożywcze. Chociaż ceny były naogół niskie, większość jeńców, będąc bez grosza, nie mogła sobie pozwolić na zakupno funta chleba, tego doprawdy przysmaku w życiu obozowym.

Kantyna była pod zarządem komendanta obozu, który czerpał z niej obfite dochody. Przy różnych inspekcjach i odwiedzinach obozu przez licznych generałów i dygnitarzy musiał się opłacać. Za to posiadał on w niejednym przedmiocie bardzo tanie źródła zakupu. Tak np. liczne stada świń przychodzące codziennie po żer do obozu, bez ceremonji chwymano i zabijano w myśl żołnierskiej dewizy: co do obozu wchodzi — wolne, z obozu — bez bumagi ani rusz. Oczywiście od czasu do czasu także kilka sztuk zakupywano. Warstat masarski prowadzili nasi jeńcy rzeźnicy. Ciekawa rzecz, że o zaginione sztuki nikt się nie upominał. Na Sybirze jest rzeczą ogólnie przyjętą, nie troszczyć się o los własnych zwierząt domowych, co stoi w związku z małą ich wartością. Często krowa, owca lub świnia zabłąka się i tygodniami żeruje u obcego gospodarza, aż nareszcie trafia do własnego gniazda.]

Prawdziwą plagą życia obozowego było niechlujstwo, szczególnie inteligentów, z którymi wypadało nam mieszkać w rocie t. zw. „wolnoopredzielajuszczej“. Mieszkaliśmy razem z inteligencją wszystkich ludów zamieszkujących b. Austro-Węgry. Przechodzi pojęcie ludzkie, jak nisko potrafi się opuścić człowiek wykształcony przy braku nakazu i przymusu. Utrzymanie jakiegokolwiek ładu i czystości w tych warunkach było niemożliwe. Wielu jeńców nie myślało wcale całymi ty-

Kto się podda, temu oczy wydłubią i język urzną, kto zwycięży, ten od cesarskiej wysokości otrzyma wielki medal, a odemnie werżynę! Kto swojego pułkownika kocha, niechaj krzyknie ze mną: niech żyje nasz pułkownik! Oczywiście, że krzyknęło tylko dwóch: pułkownik i jego adjutant, natomiast koń pułkownika wyszczerzył zęby i machnął ogonem. Po tej ognistej przemowie ruszyliśmy do pobliskiego lasu. Naraz słyszymy dziki okrzyk hura i... waszu mać!

Zaczęli strzelać i prać kolbami, aż się mi w głowie zakreśliło. Padam na kolana, podnoszę błagalnie ręce do gór i wołam na dwóch olbrzymich moskali, z których jeden chciał mnie przebić bagnietem, a drugi kolbą rozbić mi głowę: „Jezus Marja! nie zabijajcie mnie, bo mam w domu żonę i sześcioro dzieci!“ — Zlitowali się nademną, jeden z nich poklepał mnie po ramieniu i mówił: „Karasz! Nie pугaj się awstriecko, stano wiś czetery po czetery!“ — Ustawili nas w czwórki i popędzili razem z pułkownikiem i sztabem do niewoli“.

Lutzenhauser codziennie obrabiał inny temat: dziś mówił o zdrajcach Czechach, jutro o zidjociałej arystokracji, pojutrze o chciwych księżach, to znowu o tchórzliwych oficerach i o zjełczałym sztabie generalnym, dalej o publice teatralnej, o siostrach miłosierdzia i damach z półświatka, to znowu wyjechał na wstrętną biurokrację i na podstępna dyplomację; dziś był zagorzałym socjalistą, jutro wysławiał Luegera pod niebiosa, to zachwycał się gadatliwością przekupek wiedeńskich, a nareszcie nie szczędził i dworu cesarskiego: jednym słowem, wykapany Wiedeńczyk i psi pesymista.

Konkurencji nie znośił, i gdy jego antagonistą Lechner, który przeważnie opowiadał cuda własnej waleczności, zajął jego ambonę pod lampą, to Lutzenhauser złośliwie pykał z fajeczki, spluwał i robił „zwischenruffy“. Znudzony nareszcie samochwalbą Lechnera, przerwał mu brutalnie i na cały głos zaczął krzyczeć: „Kamraden, ihr hört diesem Hund elendigen zu? Er ist im Stund ihna alles mögliche zu derzöhlen. Gestern hot mir dieser Fallot derzölt, er wär mit seiner Patrie auf der Babia Gura gestanden, da kam etwas grandiges in der Luft gflagn, er meinte, s'wär a Zöpplin, derwajl woars a 42-er Gschoss. Er nahm's in sei Protzen, wuarf's ouf die nüberliegende Höh und derschiug damit 1200 Russen. Dös wullt mir tie-ser blöde Hund gestern onbindn, derwajl is dieser Voterlands-

Mieliśmy w obozie także klub polityczny. Czytaliśmy gazety rosyjskie i polskie i chwyтали każdą myśl, która zwiastowała jakoby bliski pokój. Wiadomości ze Sztokholmu i Kopenhagi, tych kuźni wszelkich plotek wojennych i pokojowych, tłumaczyliśmy na korzyść oczywiście naszą, a główny referent prasowy, pewien poborca podatkowy z Przemyśla, kończył referat swój zawsze z tajemniczą miną i półsłówkami: „Panowie, coś się robi, panowie, coś z tego będzie!” Tymczasem w tej mierze miał rację kapitan sztabowy z Omska, który mówił: „Będziemy wojowali rok, dwa, pięć i dziesięć, dopóki Germanca nie pobijemy“.



Muzyka i tańce w obozie jeńców.

Były także kłótnie o orientację polityczną, a mianowicie koalicyjną i mocarstw centralnych. Założenie dziecinne i nielogiczne, na podstawie którego powinna zostać pobita Rosja, a następnie rozgromiona Germanja, błakało się już wówczas po naszych mózgach. Mało kto rozstawał się natomiast z Austrią, która powinna była zawrzeć osobny pokój i odczepić się od rozbitych Niemiec. Byli wprawdzie tacy, którzy nie chcieli wracać do Austrii, ale też nie wiedzieli, na jakiej podstawie nową Polską urządzić.

Gdy w naszych czasach czytam różne deklaracje i zapewnienia naszych najpoważniejszych mężów stanu, jakoby oni tylko podczas zamętu wojennego widzieli właściwą drogę dla Polski po stronie koalicji, to pytam się tych mędrków: „Jak wyglądałaby Polska przy kompletnem zwycięstwie koalicji łącznie z Rosją?” Były tylko domysły, a rzeczywiście rozwiązanie problemu polskiego jest doprawdy cudem i przypadkowym zrządzeniem Opatrzności. Nawet historia narodów nie jest ściśle logiczną konsekwencją, ale częstokroć dziełem czystego przypadku.

Na tle orientacji przychodziło częstokroć między jeńcami do zaciętych sprzeczek. Byli tacy koledzy, którzy notowali

poprostu, każdy rzeczowy argument przeciwko polityce państw centralnych, grożąc zaskarżeniem, czy denuncjacją po powrocie do Austrii. Przecież ta Austrija wżarła się w ciało i krew wielu przeciętnych Małopolanów i mało który wyobrażał sobie przyszłość bez niej. Zabawny i równie tragiczny epizod zdarzył się pewnego dnia w obozie, a bohaterem jego byli: pewien nauczyciel ludowy i wachmistrz żandarmerji, obaj z Małopolski.

Nauczyciel ów w rozmowie z kolegami twierdził apodyktycznie, że jeńcy małopolscy nie wrócą już do Austrii, gdyż dziadowska Austrija rozleci się. Posłyszał rozmowę gorliwy wachmistrz, pozatem tęgi Mazur i dobry Polak i po przyjacielsku zwrócił się do nauczyciela: „Niechaj Pan będzie ostrożny, bo Pan nie wie, dokąd Pan wróci, — a nuż wypadnie Panu wrócić do Austrii, — co wtedy?” — „Ty parobku austriacki i dziadu ostatni, tobie chodzi o twe lata wysłużone, a nie o Ojczyznę! Gdybyś miał rozum, to wiedziałbyś, że Polska także będzie potrzebowała żandarmów“.

— „Chłopie marny, szlusuj racie, stój na baczność, gdy mówisz do wachmistrza żandarmerji!“

Skutek był taki, że nauczyciel z całej siły uderzył wachmistrza w łeb, aż się potoczył i krwią zboczył. Jest to jeden ze smutnych obrazków obozowych. Argumentowano rozumem, obelgami, groźbami, a nawet pięścią w poszukiwaniu za myślą przewodnią.

Gorzej było w obozie z chwilą, gdy poczęły się formować ochotnicze oddziały serbskie i czeskie. Cała nienawiść zwróciła się wtedy przeciwko Polakom jako zdrajcom Słowiańszczyzny. W obozie dochodziło do ciągłych bijatyk, a władze rosyjskie, stojąc po stronie ochotników, dawały im wszelkie swobody, gdy jeńców Polaków szykanowano na każdym kroku. Było wprost rzeczą niebezpieczną pokazywać się w porze wieczornej lub rannej bez towarzystwa innych.

Sam padłem raz ofiarą serbskiego szowinizmu. Rzecz miała się następująco: Do obozu w Tjumeniu sprowadzano obok Serbów także Kroatów i Słoweńców. Między Serbami, Słoweńcami z jednej strony a Serbami i Kroatami z drugiej istniała zasadnicza różnica wyznania i kultury, która zresztą do dziś istnieje i powoduje w Jugosławji ciężkie wewnętrzne

przesilenie. Serbowie mieli uświadamiać odpornych i patryjotycznych pobratymców w kierunku „carosławja“. Była to robota bezowocna, dlatego Serbowie uciekali się ostatecznie do teroru. Skoro się pokazał Kroat lub Słoweniec samotny w obozie, napadali na niego szajkami i niemiłosiernie go bili.

Nadszedł do obozu nowy transport Słoweńców, który posiadał ciepłe nakrycia głowy (Schneehauben). Wymieniłem moją czapkę za mierną dopłatą u pewnego Słoweńca nauczy ciela. W wieczornej porze przechadzałem się po obozie. Właśnie Serbowie kończyli codzienną zbiorową modlitwę śpiewem: Boże, carja chrań, gdy kilkunastu „mołodźców“ opadło mnie. Znalazłem się na ziemi, a przeciwnicy moi bawili się mną jak piłką futbalową. Byliby mnie z pewnością zakantrupili, lecz scenę tę zauważono w naszej rocie i wysłano odsiecz. Pytałem się rozbójników, za co mnie biją, a oni odpowiedzieli: „Ty gordzisz korolem Pietrem“. Z powodu cieplej czapki wzięli mnie za Słoweńca. (Mowa tutaj o serbskim królu Piotrze, dla którego formowano ochotnicze bataljony). Przez jakie sześć tygodni nie mogłem zebrać kości moich i odczuwałem propagandę wielkoserbską na własnej skórze.

Cieszyliśmy się nareszcie, gdy serbskie bataljony odeszły na front. W miejsce ich powstały bataljony czeskie. Agitacja była jeszcze bezwzględniejsza i niejeden Ślązak, a nawet Małopolanin dał się porwać na obietnanki czeskie.

Czesi wogóle od samego początku niewoli byli w Rosji narodem wybranym. Byli komendantami kompanji, pisarzami, listonoszami, zarządcami menaży i kucharzami. Nie tyle grubiaństw i podłości spotykało nas ze strony rodowitych Moskali, ile od braci Czechów, którzy wszędzie nos swój wściubiali i wobec nas udawali fanfaronów i protektorów.

Agitację za legionami czeskiną pośród siebie przeprowadzali bezwzględnie. Pamiętam pewnego nauczyciela, literata-Czecha, który nie zdradzał ochoty do rzemiosła wojennego, ale też nie przeciwstawiał się robocie swych ródaków. Przez miesiąc obrabiali go codziennie, aż nareszcie z płaczem podpisał przystąpienie do Legionów.

Skoro Czesi skupili w legionach swoich, rzucili się z całą zaciekłością na nas. Komendant obozu oczywiście sprzyjał tej

Należałem do ludzi stosunkowo bardzo odpornych, a przecież i mnie zdarzały się chwile kompletnego zwątpienia. Niejeden raz ból serce ścisnął i czarna rozpacz ogarniała mnie ze-
wszad, nie widziałem poprostu wyjścia. Jedna noc przespana,
a nowa otucha się zrodziła; miałem się pracy, a zapomina-
łem o niedoli.

Mieszkając w „Strzesze“ urządziliśmy „Święcone“ i nie-jeden kolega z obozu, któregośmy u siebie gościli, wyniósł głęboką nienawiść do nas i rozszerzał ją w obozie. Nazwano nas pogardliwie „jałmużnikami“, chociaż poza wiktem z obozu utrzymywaliśmy się sami. Zakupywałem wiktuały na „Święcone“, a wydatki ówczesne nie przekroczyły kwoty pięciu rubli. Jeżeli się zważy, że funt szynki kosztował pięć kopiejek, ryby trzy do czterech kop., to i tak dziwić się trzeba naszej rozrzutności na podtrzymanie tradycji narodowych.

Za inicjatywą kol. Wójtowicza utworzyliśmy dla członków chóru „kasę wspólną“ w której lokowali wkładki kiedzy posiadający więcej grosza a korzystali inni, którzy nie mogli zarobić albo z domu otrzymać. Kasa zasilala się także pożyczkami u oficerów jeńców, ofiarnych obywateli a utrzymywała także kontakt z konsulatami państw zagranicznych jak niemieckiego w Tiensin i amerykańskiego w Moskwie. Kwoty były minimalne, ale pomoc była wydatna, bo szczęśliwy ten, który mógł sobie pozwolić na wydatek dzienny trzech kopiejek i zakupno choćby funta białego chleba lub kilku obwarzanków.

Gdy taki biedak otrzymał pieniądze z domu chętnie zwracał zaciągniętą zaliczkę. Nie było nadużyć i protekcji — kochaliśmy się jak bracia!

Odwiedzali nas czasem goście z osiadłej tutaj Polonji, między innymi pani Koziół-Poklewska i jej mąż. Państwo Poklewscy należeli do najbogatszych ludzi Zachodniego Sybiru i byli nawet chętnie witani na dworze carskim. Siedziba ich znajdowała się w Talicy 180 wiorst od Tjumenia. Obecny jej właściciel był synem Alfonsa Poklewskiego, zesłanego prawdopodobnie po roku 1831 na Sybir. Był on sławnym dobrodziejem i obrońcą wygnańców polskich. Urodził się na Litwie we wsi Bykowszczyźnie. Na Syberję przybył z Piotrogradu jako uczeń uniwersytetu wileńskiego i pracował jako urzędnik do szczególnych zleceń przy generał-gubernatorze

Gorzakowie. Gorzakow zezwolił mu obok służby trudnić się uprzemysłowieniem Sybiru na własną korzyść. Założył tedy fabrykę szkła, browar, osadę Poklewskaia i zaprowadził żeglugę parową na rzece Obie. Pracą, zdolnością i zapobiegliwością dorobił się olbrzymiej fortuny, której wielką część



W poszukiwaniu...



Przyjemności obozowe.

obracał na cele dobroczynne. Fundował kościoły dla Polaków w Omsku, Ekaterinenburgu, Tomsku, Tobolsku i Tjumeniu. Dla powstańców po r. 1863 dawał bezpłatny przejazd na okrętach własnych z Tomska do Tjumenia, przez co skracał okutym w kajdany drogę o 1500 wiorst.

Pomagał im także materialnie przez dawanie im zatrudnienia. Zakupił w permskiej gubernji ziemię, a na rządców przyjmował tylko polskich zesłańców.

Syn jego, obecny właściciel Talicy, taksamo gorliwie opiekował się instytucjami przez ojca stworzonymi i przyjeżdżał wraz z żoną do Tjumenia na śpiewy i koncerty jeńców wojennych, przy czem obdarowywał nas pieniędzmi i rzeczami potrzebnymi.

Jeńcami wojennymi zajmowały się także zagraniczne misje Czerwonego Krzyża, między innymi wraz z delegatem tejże duńskiej instytucji odwiedziła nas hrabina von Hilde-

brand, Niemka. Jak to zwyczajnie bywa przy oprowadzaniu gości zagranicznych, także pani H. pokazywano rzeczy najpiękniejsze, a towarzyszący jej oficer rosyjski dbał o to, ażeby nie zetknęła się bezpośrednio z jeńcami.

Mimo tej czulej opieki musiała zauważyć, że jeńcy śpią na gołych deskach bez okrycia i w butach, że są obdarci, pozbawieni bielizny i źle odżywiani. Koło Bożego Narodzenia 1915 r. nadeszły podarki świąteczne (Liebesgaben) i każdy prawie je-



Plaga szczurów w nocy. (Orgje i koncert.)

niec otrzymał ciepłą bieliznę, chustki do nosa, pantofle, szelki, szczotki do zębów, mydło i proszek na pewne stworzonka, które nam zbyt dokuczały. Brakowało tylko trucizny na szczury, bo te całymi legionami ścigały do obozu, urządzając nam po nocach orgje i koncerty, przy czym nie omieszkiwały kraść jeńcom chleb i inne artykuły spożywcze.

Otrzymaliśmy także obuwie, którego w Rosji szczególnie brakowało. Nawet gdy wysyłano większe partje jeńców na roboty do fabryk, i do budowy kolei murmańskiej, która pochłonięła dziesiątki tysięcy żyć jenieckich, wtedy zdejmowano przemocą obuwie tym jeńcom, którzy pozostali w obozie. Dotyczyło to przeważnie jeńców niemieckich, bo ci posiadali buty mocne i wysokie. Pomysłowość jeńców niemieckich w porze zimowej była nadzwyczajna, bo wywłaszczeni z butów odpruwali z bluz swoich rękawy i odziewali nimi bosc nogi.

Od czasu do czasu wysyłano transporty inwalidów do Austrii. Były to obrazy nadzwyczaj smutne i ponure. Ludzi bez rąk i nóg ładowano do wagonów, przy czym nie szczę-

czego historia się więcej nie powtórzyła. Niedługo potem dra. Stenzla wskutek denuncjacji lekarza Czecha przeniesiono w zapadłą jakąś dziurę między chorych na tyf plamisty. Czy powrócił, nie zdołałem stwierdzić.

Życie obozowe, aczkolwiek zazwyczaj monotonne, miało także swoje urozmaicenia. Załoga znajdowała się w ciągłym ruchu. Codzień prawie przychodziły świeże transporty jeńców z frontu lub innych obozów. Był to żywy dziennik, który przynosił wiadomości pocztą pantoflową. Nie wszystko oczywiście, co ludzie opowiadali, było prawdą, chociaż były także i chlubne wyjątki. Każdy nowy transport bywał oblegany; wyszukiwano krewnych i znajomych. Ile to czasem radości było w obozie, gdy niespodziewanie zjawił się jakiś znajomy!

Z wiosną 1915 r. przybyło koło dwóch tysięcy jeńców z załogi przemyskiej: ludzie wygłodzeni, obdarci, zabrudzeni wzbudzali litość ogólną, gdy tymczasem oficerowie paradowali w mundurach galowych prosto z igły, przy szablach i złotych przepaskach. Nawet miejscowe pismo „Jermak“ oburzało się na tę różnicę między szeregowcami a oficerami tejże samej armji. Wiadomą jest rzeczą, iż oficerom załogi przemyskiej w dowód waleczności pozostawiono szable. Niedługo jednak cieszyli się tą swobodą. Pewnego dnia na ulicy carskiej oficer austriacki nie oddał czci oficerowi rosyjskiemu, wskutek czego obrażony Moskał spoliczkował go. Za kilka dni potem odebrano wszystkim oficerom boczną broń.

Do naszej rotы przydzielono ze dwa tuziny feldweblów, którzy posiadali bardzo dużo pieniędzy. Komendant twierdzy Kusmanek polecił spalenie wszelkich banknotów przed podaniem się; oficerowie i podoficerowie jednak pieniądze rozdzielili między siebie i prowadzili w niewoli życie hulaszce. Wnet przyaresztowano kilkunastu urządzających w jednym z hoteli tumeńskich nagie seanse. W obozie grano w dzień i noc w karty o wysokie stawki i niejeden ze starszych wygłodzonych jeńców dorobił się pięknego majątku. O stosunkach w Przemyśle opowiadano rzeczy wprost niebywałe, które lepiej pominąć milczeniem.

Cała załoga dzieliła się na głodujących i używających do przesyty. Za kawałek cukru zniewalano kobiety, a ludność cywilna razem z prostym żołnierzem cierpiała skrajną nędzę.

Jeńców rosyjskich, którzy poddawali się obleżonej zało-

rowo zakazane i musiałem się opłacać, chcąc bramę przechodzić bez oficjalnego pozwolenia. Połączenie z domem było tak dalece utrudnione, że czasem na odpowiedź jednego listu czekało się cztery miesiące, a na pieniądze i dłużej. Pomagałem także kolegom, których rodziny zwracały dług mojej rodzinie.

Oto statystyka moich finansów za pierwszy rok niewoli: pożyczka 20 rb., pocztą 7 rb. 46 kop., za lekcje 26 rb., drobne roboty 19 rb. 72 kop., śpiew i teatr 7 rb. 18 kop., pośrednictwo handlowe 2 rb. 85 kop., sprzedane rzeczy 7 rb. 75 kop. = razem 90 rb. 96 kop. Wydałem: na ubranie i obuwie 26 rb. 97 kop., na łapówki 5 rb. 80 kop., inne wydatki 56 rb. 19 kop.; pozostało 2 rb. Miesięcznie wydawałem 7 rb. 41 kop. Człowiek w niewoli poznaje wartość pieniędzy i taksamo ciężko mu jest bez mamony, jak i na wolności. Pierwszą rzecz, jaką zakupiłem w niewoli, był zegarek. Od podziału czasu zaczyna się kultura człowieka; czas, to pieniądz!

Poczta dochodziła nas bardzo nieregularnie, aczkolwiek siedzieliśmy długi czas na jednym miejscu. Byli tacy jeńcy, co przez dwa lata nie otrzymali żadnego znaku z domu, ponieważ byli ciągle z miejsca na miejsce przemieszczani. Sam otrzymałem pierwszą kartę od córki 17 sierpnia 1915 r. pisaną w styczniu t. r. Byłem więc 10 miesięcy bez wszelkich wiadomości z domu. Kartki i listy nadchodziły tak dziwacznie, że o stałym kontakcie nie było mowy. Numerowałem moje kartki i to samo czyniła rodzina. Od żony otrzymałem 24 i 5 kartę w jeden dzień, to jest 2 września, pierwsza nadana 6 lipca, druga 2 maja; inne zaginęły, albo ugrzęzły w cenzurze.

Oprócz domu pp. Karnacewiczów poznałem kilka rodzin polskich, u których sporadycznie bywałem. Tak u pp. Dobków, sędziego pokoju, mieszkających przy ulicy Bolszaja Wodoprowodnaja. P. Dobkowa, pochodząca z pod Lublina, zajmowała się w Komitecie Polek losem jeńców wojennych. Pozostawiłem u nich odpisy mojej muzy tjumeńskiej, które przepisywał kol. S.

Oprócz tego P.Rymsiewiczowa, żona zarządcy Poklewskiego, przyjmowała nas czasem u siebie. Pp. Drozdowicze również okazywali nam dużo serca. On był urzędnikiem monopolu, a synowie ich, bardzo miłe chłopaczki, często do nas przychodzili.

U rejenta Borkowskiego spotkałem pewnego razu córkę Dra M. z Cieszyna, która zaraz po ślubie pojechała ze Lwowa za mężem na Sybir, i z nim razem powróciła do kraju.

Nie mogę zapomnieć także piwowara Serwackiego, Niemca, pochodzącego z Moraw, a dzierżawiącego browar w Tju-
meniu. Żonę miał z Karwinej. Jako obcy poddany stał pod nad-
zorem policji, a pieniądze jego zasekwestrowano w banku. Za-
praszał nas na piwo, a przyznać trzeba, że wyrób jego nie
powstydził się Pilznera. Pito oczywiście potajemnie, bo oficjal-
nie wszystek alkohol czasu wojny był pod pieczęcią. P. Ser-
wacki tęsknił za krajem, a posiadał niemałą fortunę, która
umożliwiłaby mu życie bez troski na lata stare. Niestety nie
dożył tej radości, bo jeszcze w r. 1916 umarł po krótkiej cho-
robie.

Utrzymywaliśmy rozległą korespondencję z kolegami,
znajdującymi się w niewoli rosyjskiej po różnych obozach
i miastach. I tak z kol. Wójcikiem, Rojkiem, Waleczką, Fol-
warcznym, Kokotkiem, Szturcem i innymi. Korespondencja
wewnętrzna nie podlegała tak surowej cenzurze jak zagra-
niczna, toteż byliśmy dokładnie poinformowani o stosunkach
w Turkiestanie, Syberji Wschodniej i Środkowej Rosji. Obóz
w Nowo-Nikolajewsku uchodził za najstraszniejszy. Tam tyf
plamisty zadławił tysiące jeńców i oficerów. Dowiedzieliśmy
się o śmierci kolegi Gąsiorka, który również w tym osławio-
nym obozie padł ofiarą straszliwej zarazy. Wieść ta wstrzą-
snęła nami do głębi.

Nie mogę zapomnieć o wielkich usługach, jakie nam od-
dawał pan Leopold Raszyk, nauczyciel z Frysztatu, którego
wojna zastała na odwiedzinach u ojca w Moskwie. Pracował
w różnych komitetach polskich i konsulatach zagranicznych.
Posiadał on zawsze najświeższe wiadomości z kraju i podawał
nam adresy kolegów, znajdujących się w niewoli. Starał się
również o książki i pożyczki dla jeńców z narażeniem własne-
go bezpieczeństwa. Niechaj tą drogą przyjmie podziękowanie
odemnie i od wielu kolegów, którzy z jego usług korzystali.

Organista Bruzas, Litwin, był także miłym naszym ko-
legą a szczególnie wtedy, gdy Moskale na łożach brali w skó-
rę; przeciwnie, gdy zwyciężali, stawał się równie hardym
wobec jeńców polskich, jak jego szef ks. prob. Budrys, Litwin.

Pewnej niedzieli pozwoliłem sobie na zbytek, zakupiłem bowiem za pośrednictwem „organistego“ wiadro piwa od p. Serwackiego i w samotrzeć wysączyliśmy baryłeczkę, pośpiewując stosownie do okoliczności. Był to, zdaje się, jedyny zbytek, na który wysadziłem się podczas czteroletniej niewoli.

Pewnego dnia poznałem w tatarskiej czajni na bazarze prawdziwych sybirskich bradziągów, pochodzących z Ukrainy, a zasądzonych za morderstwa. Byli już dwa razy i więcej karani, a ciągle uciekali ze Sybiru. Zająłem gulasz koniński, a brat chuligański sobie politykował.

„Czort ich bieri z ich wojnu i proklatemi Dardaniolami. Nasz Nikolaj Nikolajewicz pajdziot i wezmiot Dardanioly.“

„Durak ty, kakże wazmiot, etoż proliw, ja znaju szto eto za sztuka, jechał ja iz Japonji czerez Suez i Dardanioly: eto užasnaja kriepest, sochrani Hospod, etoj sztuki nie wezmut.“

„Kanieczno szto wezmūt. Wziali nasi bolszeje krieposti: Peremyszel i Karpaty, wezmūt i Dardaniolŷ.“

(Niechaj ich diabli wezmą z ich wojną i przeklętymi Dardanelami. Nasz Mikołaj Mikołajewicz pójdzie i weźmie Dardanele. — Osieł ty, jakże weźmie, to przecież zatoka. Ja znam Dardanele bo jechałem z Japonji przez Suez i Dardanele: jest to straszna twierdza, niech Bóg zachowa, tego kawała nie wezmą! —

Pewnie że wezmą. Wzięli nasi większe twierdze jak Przemysł i Karpaty(!) wezmą i Dardanele.) —

Dodać należy, że ludność w Rosji uważała Karpaty za bardzo silną twierdzę i rzadko kto wiedział, że to są góry — które okazały się bardziej obronnemi, aniżeli pierwszorzędne twierdze.

„Wezmut, nie wezmut“, toczyła się zażarta dyskusja, aż mnie obrali na sędziego rozjemczego, oczywista nie po to, ażebym spór rozstrzygnął, ale żeby wyłudzić odemnie kilka kop. na samogonkę, którą fabrykowano prywatnie po domach i sprzedawano pokątnie.

Byłoby rzeczą niebezpieczną hołocie tej odmówić żadanego haraczu, gdyż goście ci niewiele sobie robili z życia ludzkiego i byliby sami wzięli. Dałem im rubla i od razu wkra-
dłem się w ich łaskę zbójczą. Opowiadali o życiu w katordze, o chorobach, rewoltach, ucieczkach, a coraz to bliżej przysu-

wali się do mnie. Tatar widocznie dobrze znał swych gości, bo mnie wzrokiem przestrzegał i wskazywał na drzwi. Dałem im jeszcze pół rubla i wymknąłem się czempredzej.

Widziałem raz na ulicach Tjumenia transport katorżników. Zdała szczęk i grzechot łańcuchów dolatywał do uszu; patrzę i aż mnie ciarki przeszły od stóp do głów. Jakich 30 zbrodniarzy, każdy z nich skuty łańcuchem od lewej nogi do prawej ręki, — skuci innym łańcuchem po dwóch, między parami jeszcze jeden długi łańcuch, do którego przymocowani są wszyscy: — oto potrójna asekuracja caratu przed bestją — człowiekiem. I mimo tej potrójnej asekuracji bestja się urwała z łańcucha, carat pożarła, a chce obecnie pożreć cały świat. Ilu ludzi z powodu przekonań politycznych dzieliło los tych zbrodniarzy pospolitych. Jakież upodlenie ducha, to codzienne obcowanie z wyrzutkami narodu!

Przy tem wszystkiem zbrodniarze ci mają dobrotliwy uśmiech Azjaty, przypominający pogodę oblicza syna Wschodzącego Słońca, Japończyka, dobroć i uprzejmość Chińczyka, połączone z wyrachowaniem i okrucieństwem bandyty. Gdy się Moskal śmieje, ogarnia człowieka lęk. To jest ta szerokość i głębokość duszy rosyjskiej, o której słusznie pisze p. prof. R. Dyboski w pamiętniku swoim „Siedm lat w Rosji i na Syberji“:

„Milszy mi jest nasz polski tradycjonalizm kulturalny... niżli owa mongolska „pryncypalność“ i gnuśna po hindusku głębokość niż bezkresowy, a przez to i bezcelowy i bezowocny rozmach w traktowaniu zagdnień, na zachodzie uważanych za załatwione, niż wreszcie chamska szczerość, włączająca bez zaproszenia do cudzej duszy, już nie w kaloszach, ale w butach dziegiem cuchnących“.

Trudno będzie żyć z narodem tak liczebnym i nie pozbawionym zdolności bez znajomości jego psychy.

Często słyszałem od ludzi, którzy całe życie spędzili w Rosji ujemne zdania o narodzie, jako całości. Mówiono pogardliwie: „Ci nie zginą, tych się ani cholera nie czepi, to b.... wszędzie da sobie radę“ i t. p. Świadczyłoby to raczej o dodatnich cechach narodu, lecz to odnosiło się do siły rozrodczej, do przestrzeni i do nieporadności sąsiadów, wobec których naród rosyjski tworzy stałą groźę i niezniszczalną potęgę.

przemówił: „Feldwebel, dawaj w tej chwili pięć ludzi do are-
sztu: wszystko jedno, Polaków, czy Czechów.“ — Poszli na
pół godziny do kozy, a po pół godzinie puszczono ich na
wolność.

W Święta Wielkanocne wydał nam Riabcow bułki zamiast chleba, po kilka jajek i sam przyjechał, odwiedził wszystkie rotty z pozdrowieniem: „KRISTOS WOSKRES!“ — Odpowiedzieliśmy chórem: „DA, ISTINNO WOSKRES!“ Życzył nam zdrowia i rychłego powrotu do domu.

Wiedział on, że położenie nasze jest coraz to gorsze, przeto na wiosnę 1916 r. zaproponował nam wyjazd na roboty polowe do południowej Rosji.

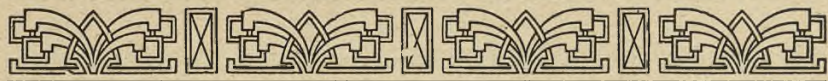
„Idźcie rebiata na jug Rasji, tam budut plice i dziewice, mołoczko, wińco — wsio!“ (Jedźcie chłopcy do południowej Rosji: tam znajdziecie ptactwo i dziewczki, mleczko, winko i wszystko.)

Wielu z nas było rozpróżnionych, toteż nie chciało słyszeć o robocie. Sam agitowałem za wyjazdem, bo tylko ruch i praca mogły nas uratować od zguby. Oczywiście, że okrzyczano mnie za moskalofila i parobka. Ci, co wówczas poszli, wrócili do domu, a niejeden z mędrków pozostał w Rosji na wieki.

Zebrała się nas spora paczka, chór kościelny prawie w komplecie i wyjechaliśmy w kwietniu do czernichowskiej gubernji. Nie było wprawdzie „ptic“, ani „wińca“, ale był razowy chleb, było i mleko, a kto się uparł miał i „dziewice“. Zachowaliśmy zdrowie, siły, a zbliżyliśmy się o połowę drogi do naszych domów.

Żał nam było opuszczać i ten niewolniczy Tjumeń, bo człowiek do wszystkiego potrafi się przyzwyczaić, a my spotkali tyle serca na Sybirze, że doprawdy było nam ciężko. Gdy chór nasz po raz ostatni śpiewał w kościółku tjumeńskim, płakali ludzie, płakali i my. Po nabożeństwie żegnano nas czule z życzeniami szczęśliwego do domu powrotu.

Komiteŝ Paŋ urzadzil nam w Czytelni ostatnie ŝwiecone. Wielu nawet myŝlało, ŝe nie jedziemy na roboty, tylko do domu. Sztokholm i Kopenhaga przynioŝły nowe plotki o bliskim koŋcu wojny i zawsze byli tacy naiwni, którzy tym plotkom wierzyli. Jechaliŝmy na niepewny los przy jednej



12. Na robotach polnych.

Droga nasza powrotna prowadziła przez Jekaterynenburg i wzdłuż Uralu, a raczej pomiędzy pasmami tych gór na południe do Złatoustu. Krajobraz był nadzwyczaj malowniczy, bo budziła się wiosna. Zbieraliśmy kwiaty, których na Sybirze nie było, cieszyliśmy się jak dzieci i piliśmy kryniczną wodę, która tutaj z różnych źródeł, częstokroć mineralnych, tryskała.

Gdyśmy mijali skałę Aleksandra i słup graniczny Azji, z piersi naszych wydobyła się odruchowo pieśń: „Jeszcze Polska nie zginęła!“ —

Po drodze w różnych miejscowościach jak Ufa, Samara i Penza spotykaliśmy cywilną ludność polską z Królestwa, wysiedloną przemocą t. zw. „bieżeńców“. Włóczyli się po dworcach i żebrali. Dzieci ich wynędzniałe i oszarpane częstokroć ginęły z głodu. Inni czerpali hojnie z zasiłków różnych komitetów i tuczyli się groszem publicznym. Mało kto zajmował się owocną pracą; szerzyła się najstraszniejsza demoralizacja. Pośród tych licznych rzesz rzadko spotykaliśmy człowieka z jakimkolwiek uświadomieniem narodowym. Były to raczej stada bezświadome, żerujące lub głodujące na cudzych śmieciach.

Półtora roku temu obraz w przejeździe przez Rosję był cokolwiek odmienny. Nie spotykało się już tego w oczy bijącego dostatku, ludność oczywista nie interesowała się już jeńcami wojennymi, którzy naprzykrzyli się jej do syta. Na dworcach nie było tego ścisku, co poprzednio, drobne sklepiki na dworcach powoli zanikały. Koło Ufy i Samary podziwialiśmy z przerażeniem wiosenny wylew Kamy i Wołgi. Całymi kilometrami jechaliśmy pośród bezbrzeżnego jakby morza. Pociąg zwalniał bieg, gdyż wały były mocno podmoczone.

zwiska śląskie. Pod wieczór przybyliśmy do folwarku we Wielkiej Bierzozce, oglądani przez liczną i ciekawą gawiedź. Pomieszczono nas w jednym pokoju baraków przeznaczonych dla robotników sezonowych. W drugiej połowie budynku mieszcili się robotnice sezonowe, odtąd nasze „koleżanki“.

Dwór we Wielkiej Bierzozce podobny był do małego miasteczka. Zamek właściciela drewniany i piętrowy, położony był w pięknym ogrodzie; poza zamkiem znajdował się niewielki park, lecz mocno zaniedbany.

Wokoło zamku i zabudowań gospodarczych było kilkanaście domków drewnianych, mieszczących kancelarję, mieszkania urzędników, kilku rezydentów i członków najbliższej rodziny, żyjących z deputatów dworskich. Dochody z trzech folwarków Wielkiej Bierzozki, Hołubówki i Lutej — razem około 600 dziesięcin (dziesięcina równa się prawie hektarowi) ornego, a piaszczystego gruntu nie starczyły na wyżywienie tak licznych użytkowników, oraz na opłacanie robocizny, toteż właściciel żył przeważnie z wyrębu lasu, którego posiadał około 1200 dziesięcin.

Pole otoczone zewsząd było lasami liściastymi i szpilkowymi, w których wypasało się bydło, konie dworskie i chłopskie. Za tę usługę odrabiali chłopci furmankami we dworze i tak za paszę jednego konia lub krowy musiał chłop odrobić sześć fur rocznie. Taksamo arendę z łąk i pól odpłacali chłopci robocizną.

Właścicielem Wielkiej Bierjozki był lekarz Radjon Gieorgiewicz Biełowski. Był to staruszek 70-letni, szczupły i siwy, podobny do Skargi Matejki. Po ojcu swoim oddziedziczył 15 folwarków, z których ostatnie trzy dosiadywał. Resztę przepuścił w licznych podróżach po Europie, na hucznych biesiadach, przez niedołęzną administrację i prawdziwie szerokie rosyjskie serce. Młody wiek spędził na hulatykach i miłostkach, w starszym zaś wieku poświęcił się filantropji, coś a la Tołstoj.

Był to słynny lekarz na okoliczne gubernje. Z daleka przyjeżdżali ludzie do niego, a on nie tylko leczył za darmo, ale dawał także lekarstwa, a biednym nawet zapomogi.

O gospodarstwo mało się troszczył i jak rok długi nie wyjeżdżał w pole, najwyżej poszedł do ogrodu, ażeby się wraz ze swoją również sędziwą żoną pokrzepić surowym ogórkiem.

Gospodarka taka oczywista przynosiła mu wielkie deficyty, tembardziej, że zarządcą całego mienia był człowiek niefachowy, emerytowany nauczyciel Łobaczow.

Rok 1916 był wprawdzie urodzajny, ale w dobrach Radjona Georgiewicza nawet przy dobrej pogodzie wszystko zmarniało. Przyczyniła się do tego także najstarsza córka, która kończyła na jakimś uniwersytecie agronomję. Była to zgryźliwa panna młoda, w starszym wieku, otoczona zawsze sforą psów różnej rasy i różnych temperamentów. Chodziła piechotą, a pupile jej wyprzedzali ją o jakie dwie wiorsty, tak że robotnicy zawsze byli na czas poinformowani o nadejściu możnowładczyni. Była ona nadzwyczaj ciekawą i wypytywała o szczegóły i metody pracy, przy czem udzielała wskazówek, a przy orce naprzykład mierzyła głębokość metrem składanym. Oczywiście, że zarządzenia jej bywały z reguły nedorzeczne i niepraktyczne, a nie było człowieka, któryby jej zachciankom mógł oponować.

Było to niedługo po naszym nadejściu w czasie sianokosów. Pierwszy konicz został zapomocą kosiarek skoszony i złożony do małych kopek, które następnie składano w coraz to większe. Zjechała na miejsce komisja złożona z Anny Radjonówny, zarządcy Łobaczewa i zawiadowcy Hołubówki — Igora Wasilewicz. Komisja ta zbadała konicz i orzekła na wniosek rządczyni, iż można go złożyć we wielki stóg. Napróżno zwracaliśmy uwagę na to, że badyle koniczu są tylko zwiedle i że w stogu cały konicz się zaparzy i zepsuje. Rozkazano złożyć, a „nasze dzieło było nie obszuźdzać, tylko podczytniać sia“. (Nie rozstrzygać, tylko posłuchać).

Igor Wasilewicz wybudował dwa korytarze w krzyż z młodej dębiny, przeznaczone do wietrzenia całego stogu i konicz ze czterdziestu morgów złożono do dwóch olbrzymich stert. Za kilka dni wydobywał się biały dymek ze stert jakby z dwóch czynnych wulkanów. Postrach padł na komisję fachową: rządczyni mijała miejsce katastrofy, a pieski jej dziwiły się, że przez cały miesiąc nie prowadziła ich w tę stronę; zarządca Łobaczew robił głupią minę, a Igor Wasilewicz „maciukał“, na czem świat stoi. Jemu było przeznaczonem dzieło zniszczenia, — o ile się to jeszcze dało, — po części naprawić.

o wolny wstęp u „władzielca“. Już ten rozległy ceremoniał świadczył o lepszych czasach na zamku w W. Bierjozce.

Spotkałem człowieka mile uśmiechniętego z papierosem w ustach. Uprzejmie mnie przywitał i poprosił siedzieć. Roz-



Autor na robotach polnych we Wielkiej Bierjozce.

począł tak rozmowę: „Na widok jeńca wojennego serce mi drży, boć i ja mam syna w niewoli, a nie wiem, jak się ma i czy powróci. Pan taksamo inteligent i pańscy koledzy nie przywykli do pracy fizycznej, a tu wojna was i naszych wyrzuciła z domu, ani się ruszyć za granicę, cała Europa zamknięta.“

Dopytywał się, jacy ludzie zemną przyszli i czego im najbardziej brak. Nauczyciele byli jako tako, zaopatrzeni, ale Ru-

ców i tyleż wozów. Wyprawa obliczona była na dni cztery, a trwała wskutek roztopów dni ośm. Nasamprzód wyprawa bez przewodnika zabłądziła, o co w Rosji nie trudno. Następnie załadowała kupione rzeczy, lecz wskutek roztopów zatrzymała się nad Desną, po której niebezpiecznie było przejechać, gdyż po lodzie płynęła już obficie woda. Było trzeba wyczekać tydzień, dwa, dopóki lody nie spłyną, a tu zapasy dla ludzi i koni dochodziły. Mimo niebezpieczeństwa drużyna zaryzykowała przeprawę.

Okolice nad Desną jest nadzwyczaj uboga i ludzie tutaj zaledwie przez trzy miesiące w roku jedzą chleb; pozatem żywią się rybą. Ludność nieprzychylna dla jeńców woj., jako przyjaciół znienawidzonych „pomieszczyków“, odmówiła wszelkiej pomocy. Śnieg zniknął zupełnie i sanie obciążone ciągnąć trzeba było przez błoto i piaski. Ludzie wygłodzeni, przemoczeni i brudni, przyjechali z wydaniem ostatnich sił, konie zmachane do nie poznania dowlokły się ledwie. Tak to w Rosji podróżują!

Nawet w lecie czyhają na człowieka różne zasadzki. Jechałem raz po kolegę do szpitala w Rudni, 18 wiorst oddalonej. Dzień był piękny, pogodny. Za namową chłopów obrałem drogę krótszą przez las. Wjechałem w pełnym pędzie do trzęsawiska i omal nie utonąłem razem z wozem i koniem. Przez przeszło godzinę mordowałem siebie i konia, nim wydobyłem się ze zdradliwej matni.

Lekarz z Rudni był przyjacielem naszego gospodarza i podobnie jak ostatni zajmował się filantropją. Posiadał młodą żonkę a dla sportu oddawał się praktyce lekarskiej.

Raz podczas wielkiej zawieruchy wieźliśmy makuchy z Budy, naszego najbliższego miasteczka, 16 w. oddalonego. Naprzeciw jechał jakiś kupiec z krzesłami i stoliczkami. Śniegu było wyżej pasa, a konie trzymały się udeptanych śladów, gdyż każde zboczenie równało się zagładzie. Nasz przodownik, zamiast dać słabszemu drogę, zepchał jego konia do zamiętu, a ten próbując się wydostać porwał całą uprzęż. Kupiec wyklinał na wszystkie świętości, my tymczasem pojechaliśmy z zimną krwią, jakby się nic nie było stało, pozostawiając go na pastwę losu w ciemną i burzliwą noc zimową. On nie byłby z pewnością inaczej postąpił, chociaż do najbliższego człowie-

ka żywego było conajmniej 7 wiorst. Tak sobie ludzie radzą w biedzie!

Wytrzymałość rosyjskich koni jest nadzwyczajna. Zarządca nasz jeździł w jeden dzień do Nowgorodu Siewierskiego i z powrotem, z okładem 100 w. Trójka przebiegała tę przestrzeń klusem w przeciągu czterech przeszło godzin, odpoczęła trzy godziny i znowu klusem wracała do domu. Konie przemęczone dzień następny spoczywały i dopiero po obiedzie otrzymały pokarm i napój. Dużo koni podczas roku ginęło, ale to przeważnie wskutek lichego furażu.

Gospodarka rolna w r. 1916 zakończyła się zupełną klęską Anny Radjonówny i jej powolnych narzędzi Łobaczewa i Igora Wasilewicza. Tylko zawiadowca Lutej miał więcej szczęścia, bo władza rządzący mniej go krępowała. Końcem września tegoż roku objął zarząd dóbr Radjona Gieorgiewicza Karol Adowicz Ajju, Estończyk, agronom ze studjami uniwersyteckimi. Była to natura istic pruska, brutalna i nieugięta. Jego silną rękę odczuto już w pierwszych miesiącach, a ludność małoruska nie mogła przyzwyczaić się do nowego reżymu. Taksamo jeńcy odczuli nową władzę i przy pierwszej zaraz konferencji była mowa o bezwzględnem posłuszeństwie i nahajach w razie oporu. W zamian za to gospodarka szła normalnie, a kasa, za pierwszego zarządcy z reguły pusta, napełniła się gotówką.

Łatwiej z nim mówić było o zaliczce, nowem ubraniu i obuwiu, nawet o polepszeniu płacy miesięcznej i deputatu, aniżeli o jakichkolwiek ustępstwach w robocie. Mieliśmy przynajmniej tę satysfakcję, że owoce naszej pracy były widoczne: staliśmy się w czasie przewrotu solą gospodarstwa Biełowskiego.

Z konfliktów częstszych z Karolem Adowiczem wychodziliśmy zawsze obronną ręką, a konfliktów tych było sporo. Pewnego dnia podczas siejby chciał zastrzelić jednego z naszych kolegów za to, że znarowionego konia uderzył, przy czem zarządca twierdził, że jeden koń posiada dla niego wyższą wartość, aniżeli wszyscy jeńcy razem. Strajkowaliśmy z tego powodu przez dwa dni, dopóki nie przyrzekł nam, że więcej podobnych gróźb nie powtórzy.

Najzaciętszą walkę toczyliśmy o poszanowanie naszych
świąt, jak: Bożego Ciała, Piotra i Pawła, oraz Bożego Naro-

dzienia. Mieliśmy tę dogodność, że świętowaliśmy nie tylko własne święta, ale także daleko liczniejsze święta rosyjskie. Poza tem odmawialiśmy pracy w niedziele, chociaż ta sprawa przez „Wołostnoje Prawlenie“ została na naszą niekorzyść przesądzoną. Podczas sianokosów i żniw musieliśmy także w niedziele pracować, za co otrzymaliśmy osobne wynagrodzenie.

Za rządów Karola Adowicza gospodarz Biełowski nie wtrącał się już w regulowanie praw i poborów jenieckich, widocznie nowy zarządca wyprosił sobie wszelką interwencję.

Jako starszy oddziału miałem z zarządcą codziennie do czynienia. Rano odbierałem dyspozycje, a wieczór zdawałem raporty. W obejściu zemną był dosyć uprzejmy, a czasem nawet koleżeński. W dowód szczególnej łaski prosił siedzieć, częstując papierosami i herbatą. Mówił płynnie po niemiecku, gdyż przez dwa lata służył agronomji w Niemczech. Języka tego jednak wobec nas nie używał, ponieważ w tym względzie istniał surowy zakaz władz wojskowych.

Rozmawialiśmy także o polityce. Był on twardym zwolennikiem carskiego reżymu i rządów autokratycznych.

Z rządów chłopskich i rewolucji Kiereńskiego drwił sobie otwarcie. Chłopa rosyjskiego znał na wylot i w najtrudniejszych sytuacjach potrafił się wykręcić sianem. Pewnego dnia, już podczas rewolucji, przybyła deputacja hołubowskich chłopów do niego, oświadczając mu prosto z mostu, że przyszła go zabić. Karol Adowicz niedługo „tłkował“ (perswadował), poczęstował chłopów papierosami i wypuścił ich w łasce. Zaraz po chłopach byłem u niego na audjencji i zastałem go w różowym humorze. Gdy od niego wracałem, chłopci jeszcze stali gromadą przed domem i wyklinali jego całą rodzinę, od matki począwszy, ale nie mieli odwagi wdawać się z nim w ponowne targi.

Oczywiście, że wskutek przewrotu dyscyplina we dworze coraz to bardziej się rozluźniała. Przyczyniła się do tego dwulicowa polityka ówczesnego ministra rolnictwa w gabinecie Kiereńskiego, pana Czernowa. Był to socjal-rewolucjonista, który oficjalnie mówił o przeprowadzeniu reformy rolnej zapomocą Konstytuanty, nieoficjalnie zaś tworzył komitety chłopskie po folwarkach. To zarządzenie było początkiem końca wielkiej własności. Komitety chłopskie miały czuwać nad

tem, by wielcy właściciele nie uszczuplili w żadnym kierunku tego dobra narodowego, które miało przejść w posiadanie chłopów. Chłopi zlecenie to wykonywali po swojemu i ograniczali gospodarzy w każdym kierunku, paraliżowali dyspozycje zarządców, sami nieudolnie rządząc, przy czem nieraz mordowali właścicieli, podpalali dwory i rozgrabiali wszelkie mienie. To był pierwszy etap do faktycznego opanowania ziemi i smutny zwiastun nadchodzącego bolszewizmu.

Nasz zarządca czytając codziennie w Ruskim Słowie całą litanję spalonych i rozgrabionych dworów liczył się poważnie z tem, że fala ta przyjdzie i do Wielkiej Bierjozki. Co wieczór zresztą widać było na niebie łuny, na widok których psy przeraźliwie wyły, a chłopci żywo debatowali.

Rząd Kiereńskiego starał się błędy swe naprawić, ale nie posiadał należytego doboru środków. Kto miał zresztą wykonywać piękne rozporządzenia rewolucyjnego rządu, gdy cały sztab carskich urzędników śpiesznie zwalniano, mianując ludzi niedoświadczonych, którzy po swojemu tłumaczyli sobie i ludowi najszczytniejsze hasła rewolucji: „Wola i ziemia.“ (Swoboda i ziemia).

Pewnego dnia, a było to późną jesienią r. 1917 układał się nasz zarządca z chłopami hołubowskimi o szanowanie zasiewów zimowych. Wandalizm ciemnego chłopca szedł tak daleko, że niszczył nie tylko dwory i inwentarze, ale także zasiewy, nie licząc się wcale z tem, że skazuje siebie na śmierć głodową. Dla wyjaśnienia nadmienić trzeba, że chłop ruski w czernichowskiej gub. tuż o miedzę od dworu uprawia tylko samo konopie, gdyż nie wymaga ono ani nawozu ani wiele pracy. Konopie sprzedaje, a z nasienia wytłacza oliwę, tak zwane postne „masło“. Pozostałe makuchy używa jako karmę dla bydła, a zboże wszystko kupuje we dworze.

Targi o szanowanie zasiewów zimowych szły dosyć opornie, a chłopci przy tej sposobności zwolnili się z obowiązkowych furmanek za pastwiska i także z czynszów za dzierżawione łąki i pola. Mimo wszystko zasiewy zimowe zostały zniszczone.

Jechałem w listopadzie 1917 r. ze młyna w Biełousówce. Na dwóch wozach wiozłem 76 pudów mąki, przeznaczonej na deputat i wypiek chleba. W Protopopówce obstarpi mnie chłopi i mąkę skonfiskowali dla tamtejszego konsumu, ba, żądali

nika, które zmuszało nas do pracy na równi z ruskimi robotnikami. Uregulowano także nasze pobory miesięczne. Oprócz deputatu otrzymywaliśmy 6 rubli na obuwie i ubranie; w trzy miesiące później poprawiono o dalsze dwa ruble, a z końcem maja 1917 r. znów o pięć rubli. Drożyzna niestety dotrzymała kroku tym skromnym podwyżkom. W gruncie rzeczy pracowaliśmy za wikt i lichą przyrodziwę. Na zimę zaopatrzone nas naszym kosztem w półkożuszki. Jeszcze w lipcu następnego roku spłacaliśmy raty za kożuchy. Obuwie było coraz to droższe; gdy w r. 1916 para wysokich butów kosztowała jeszcze 15 rb., to w r. 1917 już 50 rb. W pierwszym roku można było zarobić parę butów za dwa i pół miesiąca, w r. 1917 za cztery. Do tego żaden szewc nie chciał naprawiać butów podartych, tylko chciał robić nowe.

Największą przeszkodą w poprawie naszego losu była wiecznie pusta kasa ekonomji. Z próżnego oczywista nikt nie należy. Radziliśmy i uchwalali różne podwyżki, a gdy przyszło do wykonania, stary kasjer odpowiadał: „Dzienieg eszco nie tu!“

Z tego wszystkiego przyszliśmy do przekonania, że nasz właściciel i jego córka to ostatnie fujary; nielepszy był i Łobaczew, ale to już taki los ludzi ruskich. Wszystko wzorowało się bezwiednie na naukach Tolstoja, tego uczonego anarzysty, którego najwyższą zasadą było: „Nie sprzeciwiać się złu“. Zasada nadzwyczaj wygodna dla tych, którzy nie chcą i nie umieją niczego zrobić. Tą zasadą żyła bezwiednie cała Rosja, bo była to zasada nie narzucona, ale podchwycona żywcem z ciała i krwi ludu rosyjskiego. Całe imperjum rosyjskie, wyrzucone z bezwładności przez rewolucję, znalazło się na łasce żywiołów obcych, które ujęły ster rządów. Na froncie za Rosję Kiereńskiego bili się Łotysze, Estończycy, Polacy i Czesi, zabrakło tylko—Rosjan. Podczas demonstracji na rzecz rewolucji przewodzili żydzi i obcoplemieńcy, bo Moskał był za wygodny, ażeby coś samodzielnie i samorzutnie zorganizować. Nawet obecnie, gdy wszystko dyszy gniewem do reżymu bolszewickiego, zaraza ta trzyma się siłą bezwładności, a liczna emigracja rosyjska, zastrzegając się przeciwko imperjalizmowi polskiemu, ma nadzieję, że bolszewizm sam się w sobie zadusi. Nie widać żadnej jednolitej myśli, nie widać przedewszystkiem żadnego czynu. Inteligencja rosyjska, mordowana tysią-

cam, ginąca z głodu milionami, a będąca na emigracji setkami tysięcy, okazała się niezdolną do odegrania roli przodowniczej. W życiu oderwana od ludu, albo wsiąkająca bez zastrzeżeń w lud i ciemne jego masy, nie potrafi odegrać roli czynnej. Brak autorytetu widać na każdym kroku.

Wszędzie nihilizm i bezdennie głupia filozofja chłopska.

Warto się choćby na chwilę zająć osobą ekonomki Proskurji Zacharjewnej, tej żywej kroniki na dworze pp. Bielow-skich. Było to stara panna, przeszło 50 lat licząca, z których około 30 spędziła w służbie pana Bielowskiego. Pamiętała czasy lepsze, kiedy pan B. miał jeszcze 15 folwarków.

Ziemiaństwo rosyjskie bawiło się co niemiara, o ile przebywało w kraju, nie mówiąc o tych licznych rzeszach hrabiów i hrabiątek, które rok rocznie zapelniały całą Rywieri.

Ziemianin rosyjski cały czas spędzał wyłącznie na biesiadach i gościnach. Łączyło się siedm rodzin w jedno kółko tak, żeby starczyło na siedm dni tygodnia. Z biesiad takich przyjeżdżali państwo nad ranem, spali do południa, a wieczorem wyjeżdżali na nową gościnę, albo też po kolei sami podejmowali gości. Co wtedy zjedzono i wypito, trudno opisać. Produkcja masła i śmietany, hodowla drobiu i ogrodnin nie starczyły dla gości. Było trzeba wyjeżdżać na zakupy, albo zapożyczać się u zamożniejszego sąsiada. Podczas zabaw hazardowano o wysokie stawki: przegrywano złoto, srebro, biżuterję, a gdy tych nie stało, stawiano na kartę folwarki, ba, nawet żony, córki i kochanice!

Bywałem u Proskurji Zacharjewnej wieczorami częstym gościem. Obawiała się o mnie i odgrywała wobec mnie „moralnego“ anioła stróża, takiego, co już sam grzeszyć nie potrafi. Bywała ona w Moskwie i Piotrogradzie przez lat kilka, gdy synowie i córki p. B. odbywali studja; tam prowadziła gospodarstwo, a gdy dzieci ukończyły szkoły, otrzymała posadę ekonomki dworskiej.

Pamiętnik Proskurji Zacharjewny stanowiłby całe tomy interesującej lektury, ale niejedno pozostanie wieczną tajemnicą.

Z niechęci, jaką do niej żywiła pani Bielowska, wnioskować można było, że chodzi o uzasadnioną zazdrość, a przeszłość pana na Bierjozce dawała do tego powód.

Oficjalnie jako przyczynę niełaski podawała następujące fakta: Pp. Biełowscy chcieli przez odpowiednie marjaże dzieci swych naprawić podupadłą gospodarkę. Tymczasem synowie ich, wierni tradycji studentów rosyjskich, poženili się z miłości, w czem oczywiście ich opiekunka miała także swój udział.

Gorzej było z córkami. Szukano dla nich odpowiedniej partji i zapraszano do domu różnych kawalerów, a tu jakoś szczęście kompletnie zawiodło. Raz sprowadzono na wakacje pewnego docenta uniw. moskiewskiego, dawnego korepetytora synów w tym specjalnie celu, by pozbyć się najstarszej córki. Docent zakochał się jednak w prostej dziewczynie, pomocnicy pokojówki. Rzecz miała się następująco: dziewczyna, codzień sprząając pokój, ozdabiała stolik gościa polnymi kwiatami. Profesor myślał początkowo, że ozdobę tę zawdzięcza uwadze pańien domu, i bukiety zabierał z sobą do obiadu. Pewnego dnia przyłapał dziewczynę na gorącym uczynku, a zapytana o powód, oświadczyła mu, że czyni to z miłości do niego.

Profesor zakochał się jak student i zwierzył się z tem Proskurji Zacharjewnej, którą poprosił, by dziewczynę nauczyła czytać i pisać. Ekonomka wywiązała się z poruczonego jej zadania, a gdy profesor na drugie wakacje powrócił i oświadczył się o rękę — pokojówki, zdumienie i rozczarowanie pp. Biełowskich nie miało granic.

P. profesorowa przeniosła się do Moskwy, kształciła się pod kierunkiem zakochanego męża i w towarzystwie moskiewskim zajęła bardzo poważne stanowisko. Jedną z wielu idyl, w które obfituje życie inteligencji rosyjskiej.

Los P. Zacharjewny jeszcze za naszego w Bierjozce pobytu został zadecydowany. Nowy zarządca uznał ją za nieudolną i odprawił ją z kwitkiem bez wszelkiego zaopatrzenia. Powróciła do wioski rodzinnej zdana na litość krewnych i sąsiadów. Z dworu pp. Bielowskich zabrała tylko wspomnienia Rosji zgangrenowanej i niezdolnej do życia. Łaska pańska i tam na pstrym koniu jeździła, chociaż niejednen ze zarządców, który okradał jawnie gospodarza, otrzymał dożywotny deputat i mieszkał jako rezydent w pobliżu dworu. Kto miał spryt i odwagę, ten w tych warunkach dorabiał się fortuny.

Dwór p. Bielowskiego posiadał jeszcze inne osobliwości. Koni starych, dobrze zasłużonych, gdy stały się do pracy

i zziajany nie miał chyba w życiu wiele wesołych i jasnych chwil. Był to obraz przeciętnego ekonoma, siedzącego na nieurodzajnych i licho zagospodarowanych piaskach. Dla niego wola pana była najwyższem przykazaniem.

Wierny sługa swego pana, może jedyny, który nie kradł, pomimo że był obciążony liczną, a drobną rodziną, a dochody jego były nieszczęśliwe. Lubił papierosa wypalić, ale rzadko ze sobą woził machorkę, natomiast chwalił doborowy tytoń jeńców. Jeździł zawsze konno, objeżdżając Hołubówkę i Bierżozkę za pierwszego rządcy, przy którym uważał się za pierwszorzędnego fachowca. Za drugiego rządcy przeniesiony na Lutą stracił zupełnie animusz. Przy swej wrodzonej gorliwości miał jedną kardynalną wadę, że nie umiał czasu i pracy podzielić.

Gdy rozpoczął jakąś robotę, chciał ją doprowadzić do końca, choćby w dziesięciu innych miejscach się paliło. Nie dziwić się, gdyż był to samouk w gospodarstwie rolnem, omalże nie analfabeta. Nowego rządcy, Karola Adowicza, nie znosił, ale przecież wykonywał jego zarządzenia. W stosunku do robotników ruskich był szorstki i nierzadko przemawiał do nich harapem. Gdy w pełnym pędzie wpadł konno między ludzi pracujących, nie mógł sobie odmówić tej satysfakcji, żeby nie przeciągnąć z całej siły pierwszej z brzoza dziewczki harapem przez plecy. Ofiara częstokroć padała na ziemię i zwijała się we dwoje, ale rychło się opamiętawszy, wstawała czempredzej i szczyrzyła zęby do „bački“ Igora. Umiał zresztą te razy osładzać, bo wdawał się ze wszystkimi w rozmowę: żartował, schlebiał, strofował i przeklinał. „Istinno ruskaja dusza“.

W stosunku do jeńców starał się być uprzejmy, chociaż czasem odzywała się jego pół azjatycka dusza. „Chłopcy, chłopcy, rabotać, rabotać, panie dzieju, dobrodzieju, dobre kluski na oleju!”

Najcięższą robotą podczas lata było młócenie parową maszyną, szczególnie wtedy, gdy wiatr wiał od maszyny do sterty. Ludzie pracujący na stercie, a odrzucający słomę od elewatora przy letnim skwarze przeżywali prawdziwe piekło. Zdarzały się sceny bardzo nieprzyjemne, które było trzeba łagodzić. Ludzie, nie przyzwyczajeni do ciężkiej pracy fizycznej, buntowali się i żarli między sobą, a przecież ten przy-

mus był dobrowolny i praca aczkolwiek ciężka, była zajęciem szlachetnem w porównaniu do bezpłodnego ślęczenia w obozie i powolnego gnicia w nieznośnych wyziewach koszarowych.

Igor Wasilewicz nie mógł zrozumieć przewrotu w Rosji i rozprzeżenia, które nastąpiło wskutek niego w ekonomji. Gdyby Rosja składała się z ludzi do niego podobnych, ani za lat dwieście nie mógł upaść reżim stary.

Gdy się wybierał do Czernichowa po asystencję wojskową, włożył dwa pistolety za pas i mówił: „Tak wygląda ruskaja swoboda! Mało, co Pan Bóg zesłał wojnę na ludzi, przyjdzie jeszcze gorzej, dopóki to plemię obecne z głodu nie wyzdycha. Niema poszanowania ojca i matki, niema poszanowania popa, ni władzy, niema wiary w Boga, — wszystko musi przepaść!“ Pojechałem na zastępstwo w czasie jego nieobecności do Lutej. Przed wyjazdem przyszła do niego deputacja leśników i prosiła o wydanie deputatu na przyszłe ćwierćrocze, obawiając się zrabowania dworu przez chłopów.

„Pan nie pozwolił, dać nie mogę; skoro wam zacznę rozdawać, chłopci przyjdą i wszystko zabiorą. Zresztą czort z wami i chłopami, wszyscy jesteście jednakowi“. Żona jego, obawiając się napadu podczas drogi, nie chciała go puścić z domu i włącząc się po ziemi za nim, trzymała go za nogi. Kopnął ją brutalnie, uwolnił się i w noc ciemną, deszczową, pojechał w daleką drogę, wierny rozkazom swego pana.

„Albo jest w Rosji prawo i porządek, ochronią nas i będziemy żyli, albo nam wszystkim na pohybel“.

Niestety był czas rewolucji; prawo i porządek przeszły w ręce szarego i bezkrytycznego tłumu. Władza wypadła z rąk dotychczasowych włodarzy, a nowy porządek miażdżył wszystko, co stało na usługach dawnych panów. Igor Wasilewicz albo wrócił do ludu, z którego pochodził, wyzuł się swej duszy niewolniczej, albo zginął marnie jako przeżytek chwili.

Ze służby Radjona Georgiewicza w młej pamięci jeńców pozostała pomocnica górniczej Ściopa (Stefanja). Przychodziła do nas często z rozkazami gospodarza. Dziewczyna rosła, piękna, wesoła i towarzyska. Była ulubienicą Proskurji Zacharjewnej i niejedną nam usługę oddawała w dobrym zrozumieniu tego słowa. Parobczacy ruscy niechętnie widzieli te

jej odwiedziły u nas i zaskarżyli ją u ojca, rolnika, mieszkającego gdzieś o 50 wiorst nad Desną we wiosce Kamiennej. Przyjechał ojciec, ażeby zabrać córkę do domu, chroniąc ją od domniemanego nieszczęścia. Przy tej sposobności odwiedził nas razem z córką, był naszym gościem i zaprzyjaźnił się z nami. Córkę nadal pozostawił i powiedział jej na odjeździe: „To są ludzie dobrzy, tych się trzymaj, przy nich wyżyjesz“.

Proskurja Zacharjewna, posiadająca z dawniejszych lat wielki dar swatania, byłaby ją najraczej wydała za jakiego profesora uniwersytetu. Pewnego dnia przyjechał geometra do wsi, poznał ją i zakochał się, poszedł do popa, zajechał do rodziców i w trzy dni później odprawiał wesele. Żal nam było milej i trzpiotliwej towarzyszki, — ale życie nie czeka!

Pomimo licznych zatargów, jakieśmy mieli z zarządem ekonomji, byliśmy i najtańszą i najrzetelniejszą siłą roboczą i chociaż starano się o konkurencję, po złych doświadczeniach powracano do nas. Tak w zimie 1916—17 sprowadzono Sartałów do ekonomji.

Są to mieszkańcy Turkiestanu. Gdy kraj ich zajmowały wojska rosyjskie, przyrzeczono im wieczyste zwolnienie od służby wojskowej. Podczas wojny światowej przyrzeczenie cofnięto i przemocą przeprowadzono brankę. Wybuchły stąd rewolty, które stłumiono. Doświadczenia wojenne z tymi żołnierzami musiały być nie najlepsze, skoro później odstąpiono od dalszego zaciągu i formowano z nich tylko bataljony robotnicze. Klimat Rosji nie odpowiadał im zupełnie, a na pracy znali się tyle, co wilki na astronomji. Przywieziono ich do naszej ekonomji 40, ale po miesiącu odwieziono ich z powrotem.

W lecie 1917 r. sprowadzono ruskich żołnierzy do omłotów. Po tygodniu wspólnej z nami pracy powstały konflikty co do umundurowania i zapłaty i młodźcy pojechali sobie.

Dnia 11 października przyjechała do dworu „ochrona
sółdatskaja“, coś 15 dragonów z jakiegoś pietrogradzkiego
pułku gwardyjskiego. Konie piękne i chłopcy setne, cóż, kiedy
bolszewiki. Chłopi obawiali się, że będą represje i na gwałt
chowali rzeczy zrabowane, tymczasem żołnierze wymawiali
chłopom ich ślamazarność, opowiadając im, że gdzieindziej już
dawno porządek zrobiono z „pomieszczykami“ (obszarnikami).

Przyjechali ze śpiewem i nieodstępną „garmoniuszką“. Nam oddali piecze nad kołmi, a sami poszli do dziewczek sezo-

nowych, gdzie w jasny dzień tańczyli i wyprawiali orgje. Jeszcze w tensam dzień przyszło do konfliktu między nimi a zarządcą. Dał im tylko po funcie mięsa, gdy oni domagali się dwóch funtów na dzień i żołnierza. Nie robili wiele ceregieli i chcieli zarządcę w stawie utopić. Właściciel natychmiast telefonował do wojeńskiego naczelnika i błagał o zdjęcie tej osobliwej „ochrony“. Za trzy dni „mołojców“ odwołano pod jakimś pozorem do Nowgorodu Siewierskiego. Pojechali na pięknych konikach, lecz pozostawili ferment we wsi. Chłopi odtąd byli coraz to zuchwalsi.

Pośród naszego grona mieliśmy sporo ludzi wartościowych i zdolnych do koleżeńskich poświęceń. Nasz chórmistrz, śpiewak i grajek, kol. Wójtowicz, niejedną chmurę spłoszył z naszego widnokregu, intonując po śpiewacku: „A może byśmy sobie coś wesołego zaśpiewali?“ — Na co odpowiadano chórem: „I owszem!“ Huknęła pieśń, oblicza się wypogodziły i po śpiewie tryskał humor; każdy opowiadał, jak się dzisiaj odkuś na robocie. Oczywiście zapomniano o pocie przełanym, a kwestję ujęto z humorystycznego punktu widzenia.

W humorze celował kol. Sołtys z Nowego Sącza. Nietety umarł po powrocie do kraju. Pozatem Włoch Bigontino wyprawiał prawdziwe kawały cyrkowe.

Kol. Staszek Róg znakomicie podpatrywał ludzi i potrafił ująć moment śmieszności. Kol. Zięba był raczej przedmiotem gryzącego dowcipu, podobnie jak Gromadzki, hodowca nierogaczyny na Hołubówce. Kol. Popiel był pierwszym naszym kucharzem i kunsztem swym przemawiał na równi do naszych podniebień, jak kol. Marosz, słynny z nienaruszalnej cnoty, obecnością swą nas umoralniał. Pozatem Gligor Stojka, niechłuja Rumun, kłócił się wiecznie z kol. Leńczykiem, chociaż wątpię, czy się rozumieli, bo Rumun mówił po rosyjsku i polsku, a Polak po rumuńsku.

Z Włochów Manfrini posiadał temperament nadzwyczaj zapalczywy. Kłął, nim się rozgniewał, a cóż dopiero, gdy był rzeczywiście rozgniewany. Padały gromy, klątwy najstraszniejsze, jakie zna ten piękny język, klątwy, wobec których błędnie każda świętość.

Pozatem był to chłop do pracy jedynej, a rozporządzał rzadką siłą. Przydzielony później do piekarni na Hołubówce,

ożenił się z żoną rosyjskiego żołnierza, będącego na froncie, a nawet po powrocie pierwszego męża był w dziwnym kompromisie dalej, aż nareszcie z innymi zderzył do kraju, gdzie cytryny kwitną.

Do najpiękniejszych i najpodnioslejszych chwil naszych w niewoli należały święta, spędzane gromadnie z zachowaniem tradycji narodowych. Pierwszą wigilię Bożego Narodzenia w Bierjozce obchodziliśmy uroczyście. Choinkę przystroił kol. Wierzbicki. Rozpoczęliśmy wspólną modlitwą, poczem wypowiedziałem słowo wstępne. Dalej dzielono się opłatkiem i składano życzenia. Obiad był wspaniały, a więc: 1) barszcz z ziemniakami na maśle, 2) ryba z chlebem, 3) groch z bułką, 4) pierogi z kapustą i serem, 5) kompot, 6) jabłka, 7) herbata z pierogami. Jak na jeńców program kuchenny zbyt obfity, lecz doprawdy ciężko zapracowany. Koszt na duszę wynosiły 2 rb. 61 kop. Na zakończenie śpiewano kolędy, a mieliśmy z czasów sybirskich repertuar obfity. Jako goście przybyli do nas kol. Siwy, Stusek i dwaj inni z futoru Kaługina, imieniem gospodarza: klucznica i ekonomka. Pozatem podczas kolend przysłuchiwała się liczna zgraja z całej wioski.

Również Boże Narodzenie święcono poważnie. Otrzymaliśmy list naszej opiekunki z Tjumenia, ukochanej „babuszki“, który nas do łez wzruszył.

Uroczystości świąteczne zakończyliśmy zabawą taneczną, na której był także obecny „urządnik“ policji. Bawili się również z nami jeńcy niemieccy, zajęci w miejscowej cukrowni.

Dyrektorem cukrowni był Polak, Widawski. Bywałem u niego częściej i pożyczałem od niego książki. Pani Widawska, nienawidząca środowiska rosyjskiego, tęskniła do kraju i lubiła o Polsce rozmawiać. Przypuszczam, że powróciła do kraju jak tysiące innych rodaków, rozproszonych po całym imperjum rosyjskiem.

Taksamo uroczyście odprawialiśmy Święta Wielkanocne. Święta te w kościele prawosławnym obchodzą z wielkim pietyzmem. „Kristos woskres!“, to potężne hasło rozlegało się od Smoleńska aż po Władywostok. Pamiętam, że nawet na froncie podczas Świąt W. dochodziło do cichego zawieszenia broni.

Wszystkich jeńców w ekonomji, nawet tych, którzy byli stale przy inwentarzu zajęci, zluzowano, a zastępstwo pełnili robotnicy ruscy. Doprawdy, wiele wyrozumienia dla naszych uczuć religijnych.

O godz. wpół do 11 zebraliśmy się na Święcone. Po krótkiej przemowie chór zaintonował: „Surrexit Dominus“, po-czem dzieliliśmy się jajkiem i składali wzajemnie życzenia. Szyńska, kołaczki, bułki i herbata stanowiły gościnę, zakończoną śpiewami kościelnymi. Mieliliśmy znowu gości i dosyć liczne audytorjum. Produkcje chóru odbywały się dosyć często, a programowo każdą niedzielę, o ile byliśmy wolni od roboty.

Korzystaliśmy także ze swobody ruchów i odwiedzaliśmy kolegów w sąsiedztwie, przyjmując nawzajem ich wizyty. Najczęściej bywaliśmy w futorze Kaługina, gdzie kolega Siwy był rządcą. Jeńcy razem z nim przebywający mieli wyjątkowo korzystne warunki, gdyż opływali w chleb, masło, miód i inne słodocze, toteż mało który z gości wracał zdrow z biesiady w Kaługinie. Niektórzy tygodniami wspominali biesiadę Luku-lusową w futorze Kaługina. Urządzaliśmy także zabawy ta-neczne dla jeńców i dworskiej gawiedzi. Przy tej sposobności poznaliśmy tańce ukraińskie i różne śpiewki. Były między niemi tańce wirowe, solowe popisy i reje ze śpiewem, a także zabawy w całowanego. Do ostatniej zabawy stawały kobiety i mężczyźni w dwóch kółkach, trzymając się za ręce, przy-czem jedno kółko toczyło się w lewo, a drugie w odwrotną stronę. Wszyscy śpiewali:

„Kawo lublu, tawo lublu, tawo pociłuju
I puchowu poduszeczku jemu požertwuju.
Na puchowej poduszeczce słodko budziet spaci,
Czarnobrowu mołodicu słodko ciłowaci.“

Po ukończeniu zwrotki oba koła stanęły, a dziewczyna trzymajca poduszkę w ręku, całowała mężczyznę stojącego przypadkowo za nią.

Okolica W. Bierjozki była równą i lesistą. Zwiedziłem ją podczas mego półtoraletniego pobytu w promieniu jakich 50 wiorst. Do Starej Huty jeździłem po dziegieć, używany jako smar do wozów i do butów. Pozatem w Starej Hucie żył ludek pracowity i dużo służących ekonomji Bielowskiego stamtąd pochodziło.

W Gawryłowym futorze mieszkali sami szewcy, pracujący dla potrzeb armji. Tam też zakupywałem buty dla kolegów-jeńców.

Ostatni raz miałem kłopot z pieniędzmi Kiereńskiego. Zarządca dał mi nową 1000 rublówkę i polecił mi zakupić 15 par obuwia. Szewcy nie znali nowych pieniędzy i przyjąć ich nie chcieli, pozatem nikt nie miał za 1000 rubli drobnych, a nikt też nie miał na składzie tylu par obuwia. Gdy już obuwie obrałem i co do ceny zgodziłem, szukałem Krezusa, któryby moją „Kierenkę“ zmienił. Był jeden szewc, który wiedział o tem, że nowe pieniądze już wyszły i na ucho mi powiedział, że żydzi w mieście za tysiąc Kiereńskiego płacą 700 carskich rubli. Zafundowałem butelkę samogonki, zgromadziłem koło siebie wszystkich wierzycieli i zacząłem im wyjaśniać, co to są te nowe pieniądze.

„Widzicie tutaj na tem bankocetlu obraz Dudy rosyjskiej. Ona jeszcze za czasów Piotra Wielkiego wybudowana, pieniądz zatem, chociaż nowy, będzie miał tęsamą wartość, co stare pieniądze carskie, a nawet wyższą, bo cara niema, to i jego pieniądz upadnie, a pieniądz wolności pójdzie w górę.“ —

„Da, wierno, da, prawilno!“ — odzywały się głosy. Po długich targach ustaliliśmy wartość banknotu na 900 carskich rubli, obliczyłem się z szewcami po 35 rubli za parę butów, a resztę w carskich rublach wziąłem z powrotem. Obawiałem się, że zarządca się pogniewa z powodu kiepskiego kursu, jaki uzyskałem, ale szelma śmiał się z mojego dowcipu, bo był przekonany, że ani jednej pary butów za „Kierenkę“ nie przywiozę, gdyż sam dzień przedtem po 750 brał od żydów za sztukę.

Szewcy zaprosili mnie do siebie na bibę. Przepiliśmy kilka par butów, przy czem opowiadali różne bajdy. Jeden z nich znał osobiście cesarza Wilhelma i taką historję o nim opowiadał: „Gdy służyłem w Prasnyszu w piechotnym pułku, cesarz Wilhelm często przyjeżdżał do naszego komendanta na polowanie i wódkę, a w nocy miewał „sukinsyn“ tajne schadzki z naszym carem. Już oni wtedy „maszynniki“ umawiali się o światową wojnę i, gdyby tak my razem z Niemcem w sojuszu poszli na wojnę, tobyśmy już dawno cały świat podbili! Ale Wilhelm „chitrec“ w nocy ukradł kochanicę cara i uciekł przez granicę, a za to nasz car wypowiedział mu wojnę.

Nim się to stało, pewnego dnia przyprowadził Wilhelm kompanję swojego wojska na rynek do Prasnysza i tak mówi do cara: „Postaw ty kompanję twoich żołnierzy, ja postawię moich, i niechaj się mociją“. Niemcy tacy grubi, wypasieni, a nasz brat chudziutki, biedniutki w podartych portkach. Jak się chwycili za pas, to Niemcy zaczęli fuczeć i pocić się, a ruscy, nogi podstawiwszy, wszystkich położyli na ziemię. — Wilhelm się sierdził, ale cóż miał robić „biedniaga“? Strapiony mówi do cara: „Dam moich oficerów, a ty twoich żołdatów i cały świat schowamy do kieszeni!“

Potem zajechało na rynek dziesięć niemieckich fur z kiełbasą i wódką. Każdemu żołdatowi Wilhelm dał po pół siagi kiełbasy i pół garnca wódki — „no, kakoj wodki! — Imiela stodawacat gradów!“ —

Omal nie pękłem ze śmiechu, bo pijałem już w życiu różną wódkę, ale żadna do studwudziestu stopni nie dociągała. Przerwałem błagierowi: „Baćko, aleście grubo przesolili! Wódka może mieć 40, 60, „no, po krajnej mierze“ 90 gradów, ale stodawdziescia! — to już chyba niemożliwe.“

Nie dał się zbić z tropu i tak zakończył: „U nas w Rosji lub u was w Austrii tak, ale ten „sukinsyn“ Germaniec ma wódkę nawet ponad stodawdziescia gradów mocną.“

Przypomina mi się pewna rozmowa naszych jeńców z konwojentami ruskimi jeszcze w barakach tjumeńskich. Pewien konwojent opowiadał nam, jakie to piękne zboże, żyto i pszenica rosną nad Donem. Pokazuje aż po łokieć: „Ot, takie kłosa tam rosną“. — Na to odpowiada jeden z naszych: „To nic! U nas koło Sandomierza zasieje się garść pszenicy do „ambaru“ (spichlerza), a do jesieni urośnie na dwa sążnie grubo pszenicy.“ —

Moskal udając wierzącego, spokojnie odrzekł: „Znaju ja Sandomierz i ety ambary, — szest godow ja w Sandomierzu w kazakach służył“. — Można sobie wyobrazić, jak nasz frant został zmyty.

We W. Bierjozce byliśmy świadkami wolnościowych demonstracji, w których brali udział wszyscy robotnicy cukrowni, oraz cała ludność Bierjozki z popem, nauczycielami i Radjonem Georgiewiczem na czele. Niesiono chorągiewki w kolorach narodowych, śpiewano pieśni wolnościowe i wznoszono okrzyki:



13. Na Ukrainie.

Właśnie ruszał jakiś pociąg w kierunku Kijowa. Niewiele myśląc, przypadłem do najbliższego wozu, chcąc się uczepić. Był to eszelon wojskowy, składający się z wozów towarowych, t. zw. „ciepluszek”. Zasuwa jednego wagonu była jeszcze odchyłona. Podskoczyłem na schódek, prosząc żołnierza stojącego u drzwi: „Pożalujsta tawariszcz, wazmijcie mnie z saboj!” Zamiast odpowiedzi, kopnął mnie z całej siły w pierś i stracił do śniegu. Pociąg już był w ruchu. Wygramoliłem się czempredzej i starałem się dopaść choćby ostatni wóz. Na szczęście zaopatrzony był w pomost dla konduktora. Wyskoczyłem na pomost i jechałem. Była godz. 9 wieczór, wiatr i śnieg przy jakich minus 12 stopniach R. niebardzo się mi uśmiechały. Pomost był zupełnie otwarty, a jadąc przez całą noc, można było zamarznąć na śmierć. Przemyślałem nad tem, jakby się dostać do wnętrza ciepluszki i analizowałem duszę rosyjskiego żołnierza.

Ujechałem około 30 wiorst, gdy w futorze Michajłowskim pierwszy raz pociąg przystanął. Otworzyły się wagony, żołnierze z czajnikami wychodzili po wrzątek. W restauracji zakupiłem 3 paczki papierosów i podeszedłem ponownie pod pewien otwarty wagon, ofiarując papierosy, a prosząc o gościny przytułek. Papierosy swoje zrobiły; uzyskałem miejsce w ogrzany wagonie. Nikt się mnie nie pytał, kto jestem i dokąd jadę.

Towarzysze moi byli to bolszewicy, jadący na podbój Ukrainy. Mieli tylko herbatę, ale cukru nie posiadali. Ofiarowałem im funcik cukru, z czego się ogromnie ucieszyli. Unikałem rozmowy, gdyż aczkolwiek mówiłem dosyć biegle po rosyjsku i ukraińsku, mogłem się zdradzić akcentem. Towarzysze moi opowiadali swoje czyny wojenne z pod Piotro-

Bolszewicy uznali swoje „niełowkie“ położenie, oddali karabiny maszynowe i wszelką amunicję, a tak ogołoceni odjechali własnym pociągiem w kierunku Moskwy.

Chcąc dostać się do Kijowa, musiałem zmienić orientację bolszewicką na ukraińską, i w tym celu przybliżyłem się do pancernego pociągu. Poprosiłem jednego z żołnierzy, by mnie przygarnął do wagonu, za co oddałem mu funt cukru i paczkę papierosów. Znalazłem się w opancerzonym wozie, gdzie było pełno skrzyń, amunicji i zdobytych karabinów. Wagon był nieogrzany, ale na szczęście do Kijowa było niespełna 30 w.

Niejednemu dziwnem się wydawać będzie, jak to ludzie niewojskowi mogli się dostać do pociągu wojskowego i to w czasie rewolucji i wojny domowej. Ani rewolucja, a tem mniej wojna domowa znają logikę. Za czasów Kiereńskiego jak i za bolszewików zamarł powoli ruch osobowy, a kursowały tylko pociągi wojskowe, z których ludność cywilna korzystała za różne grzeczności świadczone żołnierzom.

W Kijowie stanąłem około 6 rano. Cały dworzec równał się obozowi wojennemu. Gdzie oko spojrzało, widać było tylko żołnierzy i bagnety. W poczekalniach i na korytarzach spało siedząc na podłodze tysiące żołnierzy. U wejścia do ubikacji dworcowych stała kompanja pełniąca służbę, a oficer badał papiery wszystkich pasażerów cywilnych. Przeraziłem się niemało, gdyż miałem tylko dokument jeniecki ukryty w cholewie i mogłem w najlepszym razie liczyć na pomieszczenie w obozie jeńców w Darnicy.

Cywilnych pasażerów, którzy w pancernym pociągu przyjechali, było conajmniej ze dwieście. Mało który z nich miał papiery w porządku. Podejrzanych segregowano i odprowadzono pod strażą. Próbowałem się wydostać, obchodząc dworzec daleko kołem, lecz wszędzie natrafiałem na strażę ukraińskie, wobec czego zawróciłem z powrotem do wyjścia. Oficer odprawiał właśnie ostatnie trzy osoby, kłócąc się z pewnym chłopem z powodu, iż miał legitymację zeszłoroczną. Nagle myśl szalona zaświtała mi w głowie. Traciłem bezszczerne chłopa i przeszedłem wokoło oficera, jak gdyby wszystko było w porządku. Był może zmęczony nocną służbą i liczną odprawą, tak że prawdopodobnie nie zauważył mojego przejścia. Taksamo nikt z kompanji, stojącej w szpalerze, nie zacząpił mnie. Po małej chwilce stąpając pomiędzy

Wybrałem się natychmiast z wizytą i o godz. w pół do ósmej zapukałem do jego drzwi. Był jeszcze w łóżku i przez drzwi powitał mnie „na ruskim języku”. Był miłe zdziwiony z tej porannej wizyty; nie wiedział nawet, że się w Rosji znajduję. Opowiedziałem mu przejścia ostatnich dni i zdradziłem moje zamiary na przyszłość, to znaczy, że chcę po przejściu frontu dostać się na święta do domu.

— „Nie znałem cię z tej strony, gdyż sądziłem, że żadnemu Polakowi nie powinno się śpieszyć na front włoski w obronie Austrii, a to ci z pewnością grozi, skoro przebijesz się przez front, nibyto do swoich. Wybij sobie z głowy, że cię na święta do domu puszczą, przeciwnie, zamkną cię najprzód do aresztu i badać będą, czy nie jesteś zarażony bolszewizmem. Jeżeli chcesz pracować, to jeszcze dziś znajdę dla ciebie stosowne zajęcie i postaram się dla ciebie o dokumenty polskie. Musisz przybrać inne nazwisko, gdyż jako jeńca mogliby cię przyaresztować. Dam ci listy do Macierzy Polskiej i do Komitetu Polskiego; teraz odpoczniesz, a koło godz. 12 zaniesiesz listy”.

Dr. M. poszedł do szkoły, gdyż był profesorem jakiegoś liceum. Przespałem się trochę i pozostawiając mój tłumoczek u niego, udałem się do Komitetu Polskiego. Przyjął mnie ś. p. prezes Biega milczącym uściskiem dłoni.

Obrałem sobie nazwisko Jana Pastuszka, jeńca cywilnego z warszawskiej gubernji. Było to nazwisko rodowe mej matki, które dla przezorności obrałem, bo pono się zdarzało, że ludzie, posiadając dokumenty obce, przyaresztowani zapominali swe nazwiska i języka w gębie. Za pół godziny miałem paszport polski; jako nowonarodzony i pełnowartościowy obywatel państwa rosyjskiego opuściłem Komitet Polski.

Wychodząc na Bibikowski Bulwar, wpadałem między liczny, kołyszący się tłum. Była godzina południowa i wszystko wyległo na ulicę. Co za różnorodne rasy i stroje! Obok licznych żołnierzy z ukraińskimi odznakami promelowali sobie swobodnie i krasnoarmiejcy. Jakże się tu dostali, skoro bolszewicy wówczas bili się dopiero koło Bachmacza, jakie 400 wiorst na północ od Kijowa? Dziwna tolerancja!

Kijów, położony podobnie jak Rzym na kilku pagórkach, robił na mnie nadzwyczaj imponujące wrażenie. Domy okazały, ulice szerokie, świątynie liczne, sklepy bogate, wystawy

wał na jego barkach. Ucieszył się, że będzie miał pomocnika i oddał mi pewien dział organizacyjny. Pracowałem w biurze „M. P.” zaledwie przez trzy dni, gdyż przyjechał p. Sarjusz Zaleski, kurator skwirskiego powiatu, zamieszkały w Pustowni i zabrał mnie z sobą w charakterze organizatora i wizytatora szkół ludowych na powiat skwirski.

Przez owe trzy dni pobytu kijowskiego byłem dwa razy w teatrze polskim, a raz w operze ruskiej. Po Tjumeniu znowu pierwszy raz znajdowałem się w świątyni sztuki. Na ulicy słyszałem ciągle język polski, gdyż było tutaj sporo inteligencji i ziemian, którzy uciekali do miasta przed bolszewizującymi chłopami.

Przed operą ruską byłem świadkiem ciekawej dysputy politycznej na temat: czy Ukraina, czy Rosja? Młodzież akademicka obojga płci, żołnierze, oficerowie, urzędnicy i różni obcokrajowcy rozumowali dobitnie, że Rosja bez Ukrainy — to dziwoląg niezdolny do życia. Tylko część zapalonej młodzieży obstawała przy Ukrainie i chciała nawet w drodze łaski coś Rosji darować, by ta z głodu nie wymarła. — W życiu jest jednak inaczej: głodne narody nie czekają na łaskę, lecz przemocą biorą to, co im do życia potrzebne. Tak było podczas wędrówki ludów, podobnie rozwijał się problem pruski w Rzeszy niemieckiej, tak się ma rzecz z zagadnieniem północnej i południowej Rosji.

Prusak, żyjący na piaskach Brandenburskiej i Pomorza hart swój zawdzięcza bezwzględnej i twardej przyrodzie. Niemiec południowy, czy Bawar, czy Saksończyk, opływający w dostatki naturalne, jest w walce ogłębny i z reguły ulega bezwzględniemu Prusakowi.

Moskal z głodnej i surowej północy jako kolonista Syberii jest daleko wytrwalszy, aniżeli „chachol“, chłop ukraiński. Dobrobyt wszędzie rozbraja, niedostatek hartuje ludzi w ciężkiej walce życiowej.

W Kijowie już wówczas grasował bandytyzm i w dzień jasny na ulicy zdarzały się morderstwa. — Idzie jakiś pan ulicą, ubrany w kosztowne futro. Przystępuje do niego jakiś drapichrust i, chwytając go za kołnierz, mówi: „Pokupaj Pan szubu!“ — Pierwszy miarkuje, o co chodzi, i wydobywając pugilares, daje kilkadziesiąt rubli odczepnego.

Gdy bandyta stwierdził, że gość posiada znaczniejszą gotówkę, strzelił mu w łeb, zabierając pugilares i kosztowne futro. Takie napady na burżujów w jasny dzień po miastach Rosji były r. 1917 na porządku dziennym. Ani policja, ani wojsko nie wkraczały, a publiczność biernie przypatrywała się rozbojowi.

Przez Koziatyn i Zarudynce pojechałem do Toporów, mego nowego miejsca działania. Przyjechałem wieczorem o 3/4 10 do ks. prob. Moszczyńskiego, pochodzącego z Częstochowy. Kurator S. Zaleski dał mi w Kijowie na ekwipunek 120 rb. i tak przedzierzgałem się z urlopnika na cywilnego urzędnika „Macierzy Polskiej“.

Ksiądz proboszcz Moszczyński ucieszył się z mego przyjazdu, bo dotychczas cała administracja szkolna spoczywała na jego barkach, a temperament jego niezbyt szczęśliwy pracę tę mu utrudniał. Żyliśmy w najlepszej przyjaźni i uzupełnialiśmy się wzajemnie. Matkę jego zastała wojna na Ukrainie i przez całe cztery lata nie mogła powrócić do Częstochowy, zajmując się gospodarstwem syna. Była to nadzwyczaj miła i towarzyska osoba.

Parafia Topory była rozległa, gdyż należało do niej kilkanaście wiosek w większej lub mniejszej części polskich i katolickich, a mniej polskich. Ludność katolicka była to szlachta szaraczkowa, siedząca z łaski potężnych magnatów jak Braniczycy, Potockich i innych na zagonach przydworskich, w tak zwanym zaścianku. Pozatem w każdej wiosce był wielki dwór z miejscowymi rządcami, a obecnie z Komitetami chłopskimi. Obok szlachty polskiej żyła i szaraczkowa prawosławna szlachta ruska, a było zazwyczaj tak, że po jednej stronie drogi osiedleni byli Polacy, a po drugiej Rusini. Szlachta jedna i druga żeniła się tylko między sobą, bo za czasów carskich nie wolno było przechodzić prawosławnym na katolicyzm, natomiast przeskoczków z katolicyzmu na prawosławie nie było wcale. Inaczej rzecz się miała po wojnie rosyjsko-japońskiej, gdy car wydał pierwsze wolnościowe i tolerancyjne manifesty. Od tego czasu małżeństwa mieszane zdarzały się częściej. Był jednak zwyczaj, tak u księży katolickich jak i prawosławnych, że żenicha, przychodzącego po rodny list celem wystąpienia z kościoła, walono bez ceremonji w mordę, dopóki nie wyrzekł się narzeczonej. Tak tłumaczono mu wol-

Próbowałem ten zwyczaj znieść, ale sami nauczyciele protestowali przeciw temu, bo mogli obok siebie wyżywić całą rodzinę, u której mieszkali. Pomyślałem sobie: „Chcę-mu krzywda się nie dzieje“.

Na Ukrainie panował głód wiedzy nie do opisania. Oprócz licznej dziawy w wieku szkolnym wszyscy starsi na gwałt się uczyli, a nauczycieli byłiby wprost zamęczyli. Tak np. nauczyciel w Rzewusze, jedyny jakiego posiadałem z kwalifikacją, uczył od rana godz. szóstej aż do godziny dziewiątej wieczorem zgoła bez przerwy; — uczył pięć kursów po trzy godziny i nawet nieźle przy tem wyglądał, a zarabiał, biorąc pomimo zakazu Opieki paraf. od uczniów osobne wynagrodzenie, do 300 rb. miesięcznie, gdy ja poza wiktem pobierałem 120 rb. na miesiąc. W tym wypadku chciwość nauczyciela była głównym motywem.

Miałem natomiast w Buchnach okaz prawdziwego poświęcenia. Tam nauczycielką była p. Bouffałówna, Litwinka, starsza już panna i mało ponętna. Kogo i czego ona nie uczyła! Dzieci miała przeszło sto, a lokal dosyć szczupły, tak że uczyła na trzy oddziały. Pozatem uczyła trzy oddziały starszych i oprócz tego dzieci robiły robótki i przygotowały się do odegrania „Jasełek“. Dla braci szlachty miała ciężką rękę, wyzywali na nią, ale respektowali jej kolosalną pracowitość. Mieszkała wraz z matką swoją w zamku Buchneńskim i, korzystając z gościnności nieobecnego magnata, w sali dla przyjęć urządziła „Gwiazdkę“ dla dzieci, połączoną z „Jasełkami“. Było to w Św. Trzech Króli 1918 r. Pojechałem z polecenia ks. proboszcza i wskutek zaprosin nauczycielki.

Sala obszerna, w jednej trzeciej dragiem oddzielona dla sceny, w reszcie była zapchaną wiejską publicznością. Była ludność polska i ruska, a ponieważ miejsc w sali było za mało, więc ludzie stali w otwartych oknach i poza oknami. Gdy wstąpiłem z wielkim mozołem przez drzwi boczne, śpiewano właśnie pierwszą kolędę, po której miała nauczycielka wypowiedzieć słowo wstępne. Jakiś brutal, bolszewik, marynarz z czarnomorskiej floty przeszkodził jej w przemówieniu i sam tak do ludności przemówił: „Przez setki lat na zanku tem siedziały pany polskie a nie było ani szkoły ani spektaklu (przedstawienia). Teraz, kiedy chłopcy folwarki wzięli i ziemię podzielili, robią nam pany szkołę polską i szopki.“ Zwracając

Szturm de Strömем objeżdżał Ukrainę, wygłaszając odczyty o uprawie roli i hodowli bydła.

Szlachta niechętnie wykładów tych słuchała, bo podejrzewała prelegentów o to, że są utrzymywani przez wielką własność, celem bałamucenia chłopstwa. Także w Bereziance po wykładach rozpoczęła się namiętna dyskusja. P. Żarski wprost prowokacyjnie zainterpelował prelegentów: „Nie mówcie nam tu, panowie, o tem, jak się zboże sieje i krowy doi, ale powiedzcie nam raczej, kto was przysłał i kto was utrzymuje?” —

Prelegenci nie wdawali się w polityczne debaty, a czynili słusznie, bo wszystko wówczas na Ukrainie toczyło się koło zagadnienia: brać ziemię, lub nie brać.

Pewnego popołudnia w niedzielę przybyli do mnie panowie Plewak i Michalski z zapytaniem: „Panie wizytatorze! Dziś popołudniu jest licytacja we dworze. Ks. dobrodziej mówi, żebyśmy nie poszli, zaś nasz rozum mówi, żeby pójść, bo to niby licytacja, a właściwie będzie pół zadarmo.” — Odmówiłem mojej rady, tłumacząc im, że zajmuję się szkołą, a nie polityką. Poszli niebardzo zadowoleni. Po dwóch godzinach znowu byli u mnie. — „Co pan powie? Kupiłem konia, dwie krowy i kilka świnek, ale „postąpiłem” ruskiemu za niewielkim zarobkiem, bo nie chcę sumienia mojego obciążać, a ks. proboszcz mógłby znowu się krzywić.” — Śmiałem się z tej wrażliwości sumienia polskiego.

Przyjechał nareszcie nauczyciel i to Ślżak, śp. Sporyż z Rychwałdu, który w r. 1919 zginął bohaterską śmiercią pod Lwowem w bataljonie śląskim. Oddałem mu szkołę w Bereziance pomimo gwałtownych protestów Opieki Szkolnej. Zwołali wszystkich rodziców, a p. Michalski jako przewodniczący przemówił do mnie w te słowa: „Bóg nam dał dobrego nauczyciela i my Pana nie puścimy. Niechaj „Macierz P.” postara się o innego wizytatora, Pan będzie nasze dzieci uczył, inaczej szkołę zamkniemy.” — Przez trzy dni przekonywałem rodziców, że są sprawy bardziej ważne i mniej ważne. Żegnali mnie z wielkim żalem, a mój następca odebrał ciężką spuściznę, bo niechęć rodziców. W Bereziance przebywałem niespełna miesiąc, a tak się przywiązałem do tamtejszej ludności, niesłusznie okrzyczanej, że samemu żał mi było placówkę tę opuszczać. Z końcem grudnia i dwunastego stycznia byłem w Pusto-

Na stacji niewiele się zmieniło. Tesame mundury żołdakie, tylko zamiast Ukraińców byli bolszewicy. Jakiś starszy zaczął mnie z powodu mego transportu, a chcąc się przekonać, czy we workach nie ma jakiejś kontrabandy, nożem przeciął worek z boku. Śmiał się z mojego przedsięwzięcia i mojej „gramoty“, twierdząc między innymi: „Ty nauczyciel i gramotny, ja przypuścimy niegramotny, no, wsio taki może mędrszy od ciebie“.

Uśmiechnąłem się tej filozofii, ale nie przeczyłem. Rozmowę naszą przerwał ciekawy incydent. Dwóch żołnierzy niosło olbrzymi samowar z wrzącą wodą.

Jakiś bolszewik senny, czy pijany, potrafił mimowoli jednego z nich, tak, że samowar upuścił i mocno się poparzył. Winowajca pośpieszył na pomoc ofierze własnej nieostrożności, przepraszając go: „Izwini, tawariszcz!“ —

„Kakojże ty towariszcz? Smotri,... twoju mać, szto ty dzieła!“

Co, jak, co! Żeby w sowieckiej Rosji odmawiać bliźniemu „towariszczstwa“ za to, że przypadkiem samowar przewrócił, to może zbyt dotkliwa kara, chociaż samowar obok rzędu bolszewickiego — to chyba największa świętość — dzisiejszej Rosji.

Z Koziatyna wróciłem nad ranem do Zarudyniec. Naczelnik stacji, Polak, zajął się mną i postarał się dla mnie o ekwipaż, goszcząc mnie herbatą i pączkami. Przy tej sposobności odkryłem nową tajemnicę życia rewolucyjnego. Dziwiło mnie mianowicie to, że urzędnicy kolejowi, nie pobierający od przeszło sześciu miesięcy żadnej płacy, mimo to wytrwali na stanowiskach. Pytałem się żony naczelnika stacji, lecz ta tłumaczyła, że żyje się ze swojego. Natomiast sam naczelnik stacji przyznał bez ogródek: „Są jeszcze naiwni kupcy, którzy od czasu do czasu wysyłają jakieś towary koleją. Zabieramy skrzynię, dwie, sprzedajemy chłopom i z tego się ciągnie dalej“.

Przypominają się słowa Wallensteina: „Der Krieg muss den Krieger nähren!“ (Wojna musi wyżywić żołnierza!)

W Toporach odprawiał tymczasem ksiądz prob. Moczyński requiem za moją grzeszną duszę. Słyszano tam huk armat, a pocztą pantoflową przychodziły straszne wieści o okrucieństwach bolszewickich. Napróżno przez dwa dni wy-

syłano konie po mnie, nie licząc się z trudnościami, które miałem do pokonania. Gdy wróciłem, zapanowała radość powszechna a ks. prob. M. postawił kilka flaszczyn dobrego wina, mówiąc: „Mają wypić bolszewicy jutro, wypijmy dziś!”

Był to zresztą znakomity kompan, który żył się ze mną zupełnie. Cóż zresztą biedak posiadał w owych czasach na odludnej wsi?! Wieczorami bywałem czasem u niego, to znów on do mnie przyszedł, bo mieszkaliśmy obok na t. zw. organistówce razem z organistą Jankowskim i nauczycielem Ci-chockim.

Przychodziły coraz to groźniejsze wieści ze wszystkich stron. Magnaci masowo wyjeżdżali za granicę, mniej zamożna szlachta kryła się po większych i mniejszych miastach, a tu i ówdzie pozostał jakiś śmieć na zagonach ojcowskich zrezygnowany na wszystko, co przyjść mogło.

Do ostatnich należał także mój kurator Sarjusz Zaleski z Pustowni. Nieraz do niego chłopci przychodzili z ostrzeżeniami, prośbami i płaczem, by uchodził czempredzej, ponie-
waż miał nastąpić blizki pogrom jego dworu. Na nic się zdały
perswazje chłopów. P. S. Z. stereotypowo powtarzał: „Tu
się rodziłem i tu umrzeć pragnę. Winy własnej żadnej nie
czuję, a jeżeli przodkowie moi zgrzeszyli, to ja winę ich na
siebie biorę i za nią odpokutuję“. — Był to zresztą człowiek
nadzwyczaj ludzki i dla ludności uczynny, a tacy będąc w zgo-
dzie z sumieniem, nie mieli powodu uciekać za granicę. Jak
mnie informowano, pozostał jeszcze dalsze dwa lata na swoim
majątku i cofał się dopiero razem z wojskami polskimi z pod
Kijowa, a zamieszkuje pono w Krakowie, zajmując się dzien-
nikarstwem.

Poznałem w sąsiedniej wiosce rządcę p. Żelaźnickiego, który znakomicie wychodził z Komitetem włościańskim. Nie sprzeciwiał się ich czasem dziecinny zachciankom, wpuszczał ich do biblioteki, gdzie sobie co niedzielę oglądali obrazki w różnych książkach, a nawet przygrywali na harmonjum tam stojąc. Gospodarzył jak poprzednio, a pobierał nawet wyższą płacę aniżeli dawniej od gospodarza.

Organista Jankowski pochodził z Kieleckiego. Był żonaty i ojcem czworga dzieci; przy tem nadzwyczaj wesoły i figlarny. Jako uczeń Preparandy toporowskiej, stał przed dylematem: albo spać podczas nabożeństwa w kościele, albo też

Nie dojeżdżając do tegoż miasta, zawróciliśmy w prawo w kierunku kolei humańskiej. Niedaleko od stacji pożegnałem się z p. Jankowskim i piechotą doszedłem do kolei.

Na dworcu czekało kilkaset ludzi i nie dziw, bo biletów nikt nie płacił, a kolej od roku była rzeczą użyteczności publicznej. Gorzej było z pociągami, gdyż dzień przedtem nie było żadnego, a połączenia telegraficzne z Humaniem były zerwane. Zdani byliśmy na łaskę losu.

Jedni twierdzili, że pociągi już wogóle nie pojadą, inni wnioskując z tego, że pociągu już dwa dni nie było, żyli w nadziei, że się nareszcie zjawi. Rzeczywiście koło godz. 2 popoł. nadjechał pociąg mieszany, składający się z dwóch wozów krytych i dziesięciu otwartych. Jak zwykle, był już porządnie zapchany, ale dwieście do trzystu ludzi zawsze się jeszcze pomieściło. Miałem szczęście, bo już o godz. 5 znajdowałem się w Koziatynie.

Od ostatniego mego pobytu zaszły na stacji tej bardzo poważne zmiany. Cała stacja była zamieciona i piaskiem posypana jak na galowe przyjęcie. Na peronie spotkałem urzędnika niemieckiego i kilka straży. Peron i ubikacje dworcowe były wymyte i gruntownie odświeżone. W klasie I. siedzieli tylko oficerowie i urzędnicy niemieccy, druga klasa przeznaczona była dla podoficerów i cywilnej ludności przyzwoicie ubranej, a do trzeciej klasy wpuszczano żołnierzy zwykłych i muzyków ruskich. Biada temu, który pomylił się i wszedł do niewłaściwego oddziału; oberwał natychmiast kolbą od „wściekłego Germańca“.

Wskazano mi drugą klasę stosownie do mojego ubrania. Na stole leżał spis potraw i cennik. Restauracja była należycie zorganizowana. Napiłem się herbaty, gdy wszedł patrol niemiecki rewidujący dokumenty podróżnych. Wyciągnąłem z cholewy mój dokument jeniecki, nie mówiąc wcale o paszporcie polskim. Byłem więc znowu sobą, a p. Pastuszka pożegnałem na zawsze!

Zaprowadzono mnie do oficera dyżurnego, który stwierdził, że dnia tegoż rano opuściłem Topory. Była to dla niego wiadomość bardzo cenna, bo mnie natychmiast wysłał do sztabu dywizyjnego. Jakiś podpułkownik zabrał mnie z sobą do generała-staruszka, dowódcy dywizji badeńskiej.

Wypytywano mnie o szczegóły z Toporów i stacji Zarduńce. Zwąchałem pismo nosem i stałem się małomównym i nic niewiedzącym. Do Toporów przyszedłem ze wschodu w nocy i rano, po przeczytaniu ogłoszenia niemieckiego, ruszyłem w dalszą drogę. Po drodze spotkałem tylko kilka chłopów i to bezbronnych.

Jak później podsłyszałem, chcieli mnie użyć jako przewodnika przy ekspedycji do Toporów. Była to oczywista i niechybna śmierć od kuli chłopskiej. W nocy bowiem tegoż samego dnia ruszyła niemiecka wyprawa po cukier w Toporach.

Szef sztabu niemieckiej dywizji począł mnie podejrzewać o łączność ze sztabem bolszewickim, a utwierdziła go w tem przekonaniu moja narodowość polska i zawód nauczycielski. „Sie sind ein schöner Bundesgenosse; sie wollen bei der eigenen Truppe keine Dienste leisten! Wir werden ihnen gleich zeigen!“ *)

Łagodniejszy był stary generał, który po bezowocnych zapytaniach powiedział: „Das Herrchen da hat kein Interesse daran der deutschen Armee zu dienen. Man soll mal das Herrchen einsperren! Vielleicht wird es morgen williger sein!“ **)

Wyszturkano mnie z kancelarii i zamknięto w areszcie. Był to zwykły magazyn bagażowy na dworcu, w którym już siedziało dwóch towarzyszy — ku memu zdziwieniu — Niemców. Z pół godziny nie mówiłem ni słowa, później rozpocząłem szeptem i po rosyjsku. Koledzy moi niewiele rozumieli przeto wkrótce rozmawialiśmy po niemiecku. Obaj wracali również z niewoli, a ponieważ nie mogli udzielić żądanych informacji, posadzono ich o złą wolę. Obawiali się rozstrzelania, lecz ja nie podzielałem ich obaw, tembardziej, gdy za godzinę rozdano nam kolację, składającą się z kawałka chleba i grzanej konserwy mięsnej. Tłumaczyłem kolegom, że Niemcy, chcąc kogoś strzelać, nie będą dla niego marnowali jednej konserwy. Spokojnie zjadłem kolację, skuliłem się do kąta i zasnąłem. Magazyn był nieogrzany, toteż ciarki mnie przeszły i przebudziłem się nad ranem. Coś o godz. wpół do

*) Pan jest ładny sprzymierzeniec, pan nie chce własnej armii służyć! My tu panu zaraz pokażemy!

**) Panek ten nie poczuwa się do obowiązku służyć armii niemieckiej. Zamknijmy panka, może się do jutra namyśli.



14. Powrót do Austrii.

Przez most zburzony przekroczyliśmy rzekę Zbrucz. Zatrzymał nas żandarm-Czech — na wietrze i śniegu przeszło godzinę, — aż się zbierze ludzi sto.

Zebrało się tylko 60 ludzi, więc o godz. wpół do pierwszej w nocy oddał nas dnia 15 marca patroli wojskowej, która zaprowadziła nas do szkoły w Podwołoczyskach. Dano nam czarnej kawy na pokrzepienie. Okna w klasie były wybite, mimo tego człowiek z pewnem zadowoleniem usnął na rubieżach polskiej ziemi. Żołnierze austriaccy, pełniący przy nas straż, płakali z radości, gdyśmy ich obdarzyli sucharami, chlebem, herbatą i cukrem, gdyż sami spożywali jakiś wojenny surogat koloru brudnego i bez smaku.

Rano prowadzono nas w oddziałach do Tarnopola, odległego o jakie 26 km. Kompanja się rozlaźla i każdy maszerował według własnej woli. Po drodze spotkaliśmy pułk austriacki, który szedł na poskromienie Ukrainy. Maszerował nie lepiej od nas. Konie oficerów i od karabinów maszynowych były wprawdzie czyste, ale wygłodzone do kości i skóry. Żołnierze licho odziani, na czapkach mieli cały tuzin blaszek pamiątkowych, lecz chleba biedacy nie mieli. Po drodze przystawali i strzelali wrony, które na ogniu piekli i chciwie zjadali. Spotkałem pewnego dzielnego strzelca, który miał u pasa aż trzy sztuki, spoglądając z dumą na mnie, który posiadałem może 10 kg chleba, sucharów i cukru.

Popołudniu zbliżyliśmy się do Tarnopola. Już przed miastem czekali na nas liczni żandarmi węgierscy i zganiali nas jak trzodę do gromady. To nie przeszkodziło, że zniknąłem w pierwszej lepszej bramie, a było to możliwem, bo miałem przyzwoite cywilne ubranie.

Chodziłem po mieście, zwiedzałem kawiarnie i restauracje, a nocowałem u jakiegoś kupca na rynku. Wieczorem wszczę-

ła się nagle za miastem strzelanina. Dowiedziałem się rano, że była to bitwa między austriackimi i niemieckimi żołnierzami. Niemcy pod pozorem sprowadzania poległych żołnierzy pakowali w trumny słoninę, nabiał i zboże i wywozili do „Vaterlandu“, gdy miejscowa ludność i wojsko nasze głodowali. Byli oni wszędzie jednacy, czy w Belgji, Francji, Włoszech, Serbji, Rumunji, Polsce czy Ukrainie. Egoizm to druga natura niemiecka!

Ledwie rano wyszedłem na ulicę, już mnie przyłapał jakiś cywilny szpicel i zaprowadził do koszar. Poddano nas w pociągu sanitarnym szczegółowemu badaniu; oczyszczono gruntownie, szczepiono dopołudnia i popołudniu, desinfekowano bieliznę, oraz ubrania. Na drugi dzień wyjechaliśmy specjalnym pociągiem przez Krasno do Lwowa.

Miałem ochotę zwiedzić Lwów po dłuższym niebyciu i od-
czepiłem się rosyjskim zwyczajem od transportu.

Niedaleko zdołałem ujść, bo pierwszy patrol, jaki spotkałem, przyaresztował mnie i odstawił do pociągu.

Myślałem, że powiozą nas na Śląsk lub Morawy, tymczasem zawieziono nas przez Ławoczno, Debreczyn i Koloszwär do Sepsi Szent György, obozu dla powracających jeńców. W obozie tym przechodzić miałem kwarantannę dwutygodniową, a niemniej desinfekcję antybolszewicką. Były to obawy próżne, bo bolszewizm w owych czasach nie miał jeszcze sposobności do rozwinięcia właściwej agitacji, natomiast stosunki w starych Austro-Węgrzech dojrzały do przewrotu.

Karmiono nas gorzej niż psy, ale za to ogłaszano nam codziennie skrupulatnie wielkie zwycięstwa niemieckie, odnoszone we Francji.

Jeńcy, wracający przez Ukrainę, tęsknili do „pełnych garnków mięsnych“ Rosji i żałowali, że powrócili do kraju.

Straż pełnili brutalni żandarmi węgierscy, którzy znali tylko wyraz „bolszewik“, a sprawiedliwość ich była kolba i bagnet. Kupowaliśmy (kto miał pieniądze oczywiście) placki kukurydziane, ażeby choć trochę żołądki napęłnić.

Zabierano nam pieniądze rosyjskie i wymieniano po $\frac{1}{3}$ rzeczywistego kursu, zabierano nam prawem kaduka ubrania cywilne i bieliznę, o ile ktoś miał ponad dwie pary. Bolszewizm szedł zatem z góry!

ta poszła na marne. Zresztą o nieboszczykach mówi się z pewnym pietyzmem. Niech jej ziemia będzie lekka!

— :- —

Jeżeli do mego pamiętnika „Z wojny i niewoli“ dodam krótkie dzieje naszego kraju z okresu plebiscytowego aż do zapadnięcia decyzji z 28 lipca 1920 r., która kraj nasz rozdarła haniebnie, przydzielając 140.000 najbardziej uświadomionych naszych rodaków na łup czechizacji, to mam do tego dwa główne powody: 1) plebiscyt nam narzucony przez Francję w myśl najszlachetniejszych haseł Wilsona stał się przekleństwem dla ludności polskiej, gorszem od samej wojny, 2) rządy Komisji Międzysojuszniczej, oraz terror czeski były dla tejże ludności gorsze od niewoli babilońskiej.

Większość naszego kraju i ludu przeszachrowano dwa lata przed oficjalnem rozstrzygnięciem, a wobec ludności odegrano tylko haniebną komedję. Do tego Czesi wyzyskali najcięższy dla Polski moment i sprowokowali rozstrzygnięcie w chwili, gdy wojska sowieckie zagrażały Warszawie. Historia nie jest rychliwą, ale sprawiedliwą!

Manifest cesarza Karola zastał mnie w inspektoracie mlecznym we Frysztacie. W Cieszynie utworzyła się w dzień po ogłoszeniu manifestu „Rada Narodowa“, pierwszy prawowity i suwerenny Rząd polski na Ziemiach polskich, który do nieistniejącej wówczas jeszcze Polski zgłosił swój akces.

My, Ślązacy cieszyńscy, mamy tę niezaprzeczoną zasługę, że daliśmy początek, czyli zawiązek do powstania Państwa Polskiego.

Odnośny ustęp proklamacji Rady Narodowej opiewa:

„Ludu śląski! Rada Narodowa dla Księstwa Cieszyńskiego, opierając się na zasadach prezydenta Stanów Zjednoczonych Wilsona, uznanych przez wszystkie narody i państwa, i na jednomyślnej woli i zgodzie ludności Śląska, wyrażonej ostatnio na wiecach ludowych w Orłowej, w Boguminie, w Cieszynie, proklamuje uroczyście przynależność państwową Księstwa Cieszyńskiego do wolnej, niepodległej, zjednoczonej Polski i obejmuje nad nim władzę państwową.“

Cieszyn, 30 października 1918 r.

Powołano mnie i kol. Wójcika do Referatu gospodarczego przy Radzie Narodowej w Cieszynie. Zadanie było trudne, bo Krajowy Urząd gospodarczy w Mor. Ostrawie skupiał w sobie wszystkie agendy aprowizacyjne i zazdrośnie strzegł, by praw jego nie uszczuplono i by polska część Śląska nie wyzwoliła się z pod wpływów czeskich.

Jeździłem kilkakrotnie na konferencje do Mor. Ostrawy, ale rezultat na ogół był marny.

Niebawem przyszło rozgraniczenie Śląska według umowy z dnia 5 listopada 1918 r., jedyny dobrowolny akt między Radą Narodową a Narodnim Wyborem w Mor. Ostrawie, który względnie sprawiedliwie regulował granicę polsko-czeską na Śląsku Cieszyńskim.

Powołano mnie na członka Rady Narodowej urzędującej na Zamku Piastowym w Cieszynie. Także biura nasze gospodarcze przeniesiono na Zamek, gdzie skupiały się prawie wszystkie władze polskiego Śląska.

Nowa władza lokalna miała także swoje kłopoty. Ludek wyzwolony nie używał swej wolności zawsze, jak należy, a wojska jadące z frontów włoskiego, rumuńskiego i ukraińskiego zawały prosto Śląsk. Najgroźniejsze z nich były wojska Mackensena, które koleją Koszycko-bogumińską przez Jabłonków wracały do Niemiec. Nasi górale z Jabłonkowskiego nie respektowali tych bohaterów światowej wojny i nawet ich czynnie znieważali. Ludność cywilna rekwirowała niemiecki łup wojenny, który wieziono koleją, obojętne, czy to było wino, czy jabłka, czy melony, czy też karabiny maszynowe. Zatrzymywano całe pociągi bez wiedzy Rządu naszego i okupowano ich zawartość. Wynikł z tego powodu nawet poważny konflikt między Radą Narodową a Rządem cesarsko-niemieckim.

Niemcy cesarskie przetrwały niebogę Austrię o całych dni czternaście i myśmy jeszcze pertraktowali z wysłannikami Głównej Kwatery niemieckiej z Pszczyny w Boguminie-Dworcu dnia 8 listopada 1918 r.

Z ramienia Rady Narodowej wydelegowano ks. pośła Londzina, p. Kłuszyńskiego, p. Kotasa i moją maluczkosć, z przeciwnej strony przyjechał osobny pociąg z delegatami Kwatery Głównej a było ich jakich 30. Wyglądaliśmy obok delegacji niemieckiej jak chudopachołcy. Tamci posiadali akta, pełno-

Skończyło się na strachu i przyrzeczeniu z naszej strony, że transporty niemieckie pojedą odtąd bez przeszkody przez terytorjum R. N. podległe. Zresztą i Niemcy stali przed katastrofą.

Napad był przygotowany przez różne akty brutalnego teroru. Na zgromadzenia polskie przychodzili pałkarze najęci, którzy publiczność i mowców teroryzowali, a zgromadzenia rozbijali. Podłe jednostki kupowano i szczerzo przeciwko własnym braciom. W prasie pojawiały się artykuły podburzające, których nikt nie prostował, ani nie karał. Nawet przy zabawach i przedstawieniach teroryzowano spokojną ludność polską. Rzeczy te działy się w całym zagłębiu ostrawsko-karwińskim w jasny dzień, nie mówiąc o niebezpieczeństwach nocy.

Mieszkałem wówczas w Łazach we własnym domu, ale z przeczności przyjeżdżałem późną nocą, a wczesnym ran-

kiem wyjeżdżałem do Cieszyna. Po drodze spotykałem różne podejrzane indywidua, wobec czego częstokroć nakładałem drogi, ażeby zmylić czujność pałkarzy.

Pierwsze dni po napadzie rugowano gwałtem polską ludność zagłębia, a druga fala pogromów dnia 8 marca wyrzuciła prawie wszystkie uświadomione jednostki. W Orłowej rozwścieczony tłum włamał się do więzienia i na rynku orłowskim linczował więźniów polskich, między nimi inż. Kiedronia, obecnego ministra dla Handlu i Przemysłu. Ofiary tak haniebnie pobito, że tygodniami walczyły ze śmiercią.

Byłem wówczas w sprawach aprowizacyjnych w Poznaniu i z gazet dowiedziałem się ze zgrozą o pogromach w zagłębiu. Żona i córka, zebrawszy naprędce najpotrzebniejsze graty, w nocy uciekły do Cieszyna, gdzie je po powrocie zastałem.

Począwszy od połowy stycznia 1919 aż do października 1920 r. trwały rugi i krwawy terror na Śląsku; dopiero później zaczęto mówić znowu o braterstwie słowiańskim i o konieczności zgodnego pożycia dwóch bratnich narodów słowiańskich.

My Ślązacy znamy te złudne hasła do przesyty i dlatego czekamy słowiańskich czynów! Na razie zniszczono nasze kwitnące szkolnictwo polskie i w czysto polskich gminach pobudowano dla dzieci polskich szkoły czeskie. Wydziały gminne rozwiązano i nasadzono komisarzy czeskich. Robotników polskich, o ile ich terorem nie napędzono, zredukowano i pozbawiono chleba. Przedsiębiorców polskich zniszczono, ludzi słabych zdemoralizowano. Może to po słowiańsku?

Dnia 27 stycznia 1919 r. wojska czeskie zajęły Cieszyn. Rada Narodowa wyjechała do Krakowa. W czasie najazdu werbowałem ochotników do wojska polskiego w Górkach, Brennej, Lipowcu, Hermanicach i Ustroniu; dni następne przeprowadzałem przymusową rekrutację w Starostwie bielskiem, przygotowując aprowizację dla kraju po powrocie naszych wojsk i władz do Cieszyna.

Prawie miesiąc cały trzymali Czesi Cieszyn w swoim ręku, mimo umowy podpisanej dnia 3 lutego w Paryżu, mocą której powinni byli bezzwłocznie opróżnić Śląsk aż po linię kolejową Cieszyn—Bogumin. Niema jak słowność czeska!

kie stronnictwa polityczne razem. Były wprawdzie chwilowe rozdziewki, a nawet poważne zgrzyty, ale Rada Narodowa aż do rozstrzygnięcia sprawy śląskiej pozostała skupieniem wszystkich polskich stronnictw naszego kraiku.

Taksamo na gruncie poznańskim było trzeba sprawę cieszyńską popularyzować przez wykłady i wiece. Przemawiałem wraz z ks. Kotulą na Uniwersytecie poznańskim do pp. profesorów, inteligencji i ziemiaństwa, pozatem na dwóch wiecach urządzonych w Domu Osadniczym do mieszczan i robotników, raz z ks. prof. Milikiem.

Zainteresowanie Śląskiem w Poznaniu było olbrzymie, a gdy nadeszła wiadomość o niepomysłnem załatwieniu sprawy śląskiej, Komitet śląski urządził wiec protestujący, a po wiecu wszyscy zebrani poszli gremjalnie przed francuską Misję wojskową, ażeby Francji wyrazić ubolewanie z powodu jej stronniczego stanowiska. Szef Misji widocznie powiadomiony ukrył się i nikogo nie przyjął.

Warto przytoczyć słowa z deklaracji del. Rządu pol. p. Paderewskiego, wystosowanej do przewodniczącego Rady Naczelnej p. Milleranda z okazji złożonego podpisu: „Decyzja powzięta przez Konferencję Ambasadorów wykopała pomiędzy dwoma narodami przepaść, której nic wypełnić nie zdoła“. — „Rządowi polskiemu nigdy się nie uda przekonać narodu polskiego, że sprawiedliwości stało się zadość. Świadomość narodowa silniejszą jest i trwalszą, niż rządy“. — „Między Czechami a Polską pozostaje kwestja cieszyńska. Uregulowanie granic w sercach Polaków pozostawiło gorycz i stanie w drodze do ścisłego porozumienia Polski z Czechami“.

Rada Narodowa w proteście uchwalonym na ostatnim swem posiedzeniu w dniu 4 sierpnia 1920 r. powiada: „Jak zbrodnia popełniona przez rozbiory Polski doczekała się sądu i kary, taksamo zbrodnia popełniona na żywym ciele Śląska zatruwać będzie życie polityczne i społeczne w środkowej Europie, dopóki nie dozna zadosyćuczynienia.

Wierzmy niezachwianie, że zadosyćuczynienie to rychło nastąpi, wierzymy w zjednoczenie się polskiego Śląska pod wspólnym dachem polskiej Ojczyzny.

Rada Narodowa wyraża żal: 1) że Rząd polski zrzekł się plebiscytu, 2) że znaleźli się politycy polscy, którzy swoimi podpisami zaakceptowali okrutny akt podziału Śląska Cie-



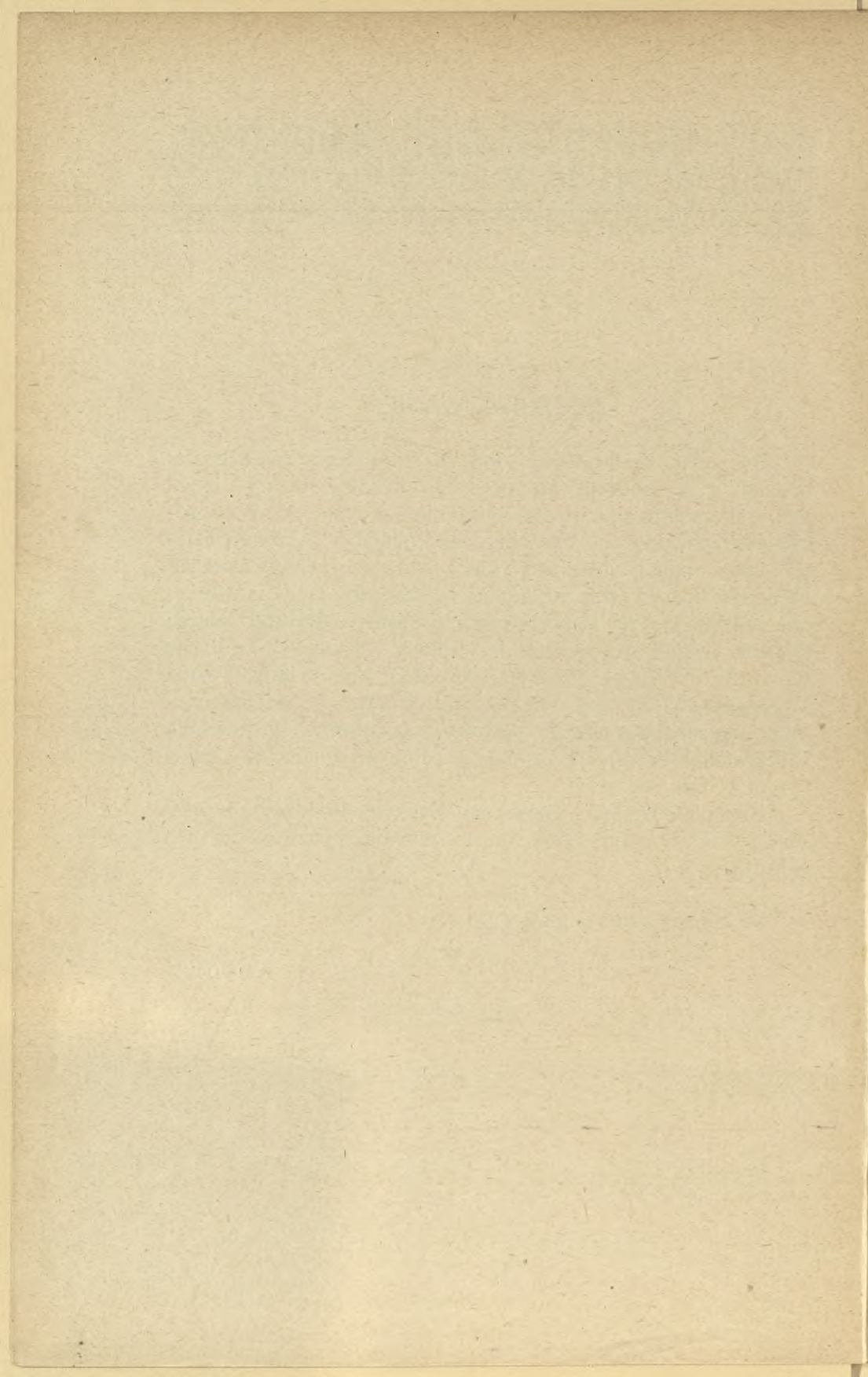
PODZIĘKOWANIE.

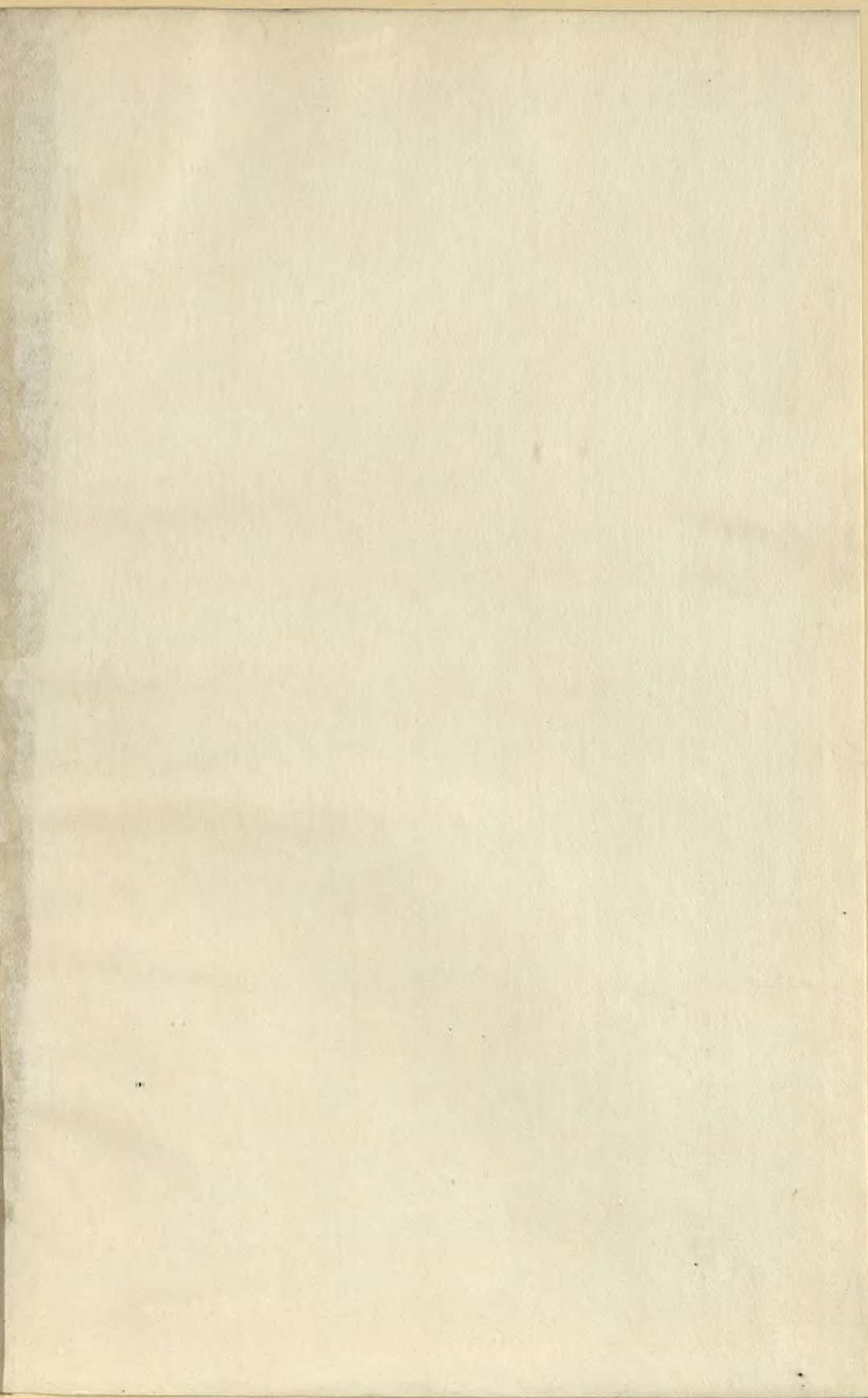
Poczuwam się do miłego obowiązku złożenia mej szczerzej podzięków tym Kolegom, którzy przez dostarczenie mi materiału przyczynili się do urozmaicenia niniejszej książki. W szczególności dziękuję kol. Konstantemu Popielowi za przewiezenie dwóch moich nowel ze Sybiru, oraz za cenny materiał obrazowy, przeważnie oryginały p. Molendy, jeńca z Tjumenia, którego pobytu dzisiaj nie znam; dalej kol. Janowi Siwemu, współtowarzyszowi z Ożoginy i Tjumenia, za liczne fotografie do ilustracji zużyte, nareszcie kol. Władysławowi Wójtowiczowi za cenne wskazówki, których mi po przeczytaniu manuskryptu udzielił, wkońcu wszystkim P. T. Kolegom i Towarzyszom niedoli za miłe i pełne urozmaicenia chwile razem z Nimi spędzone.

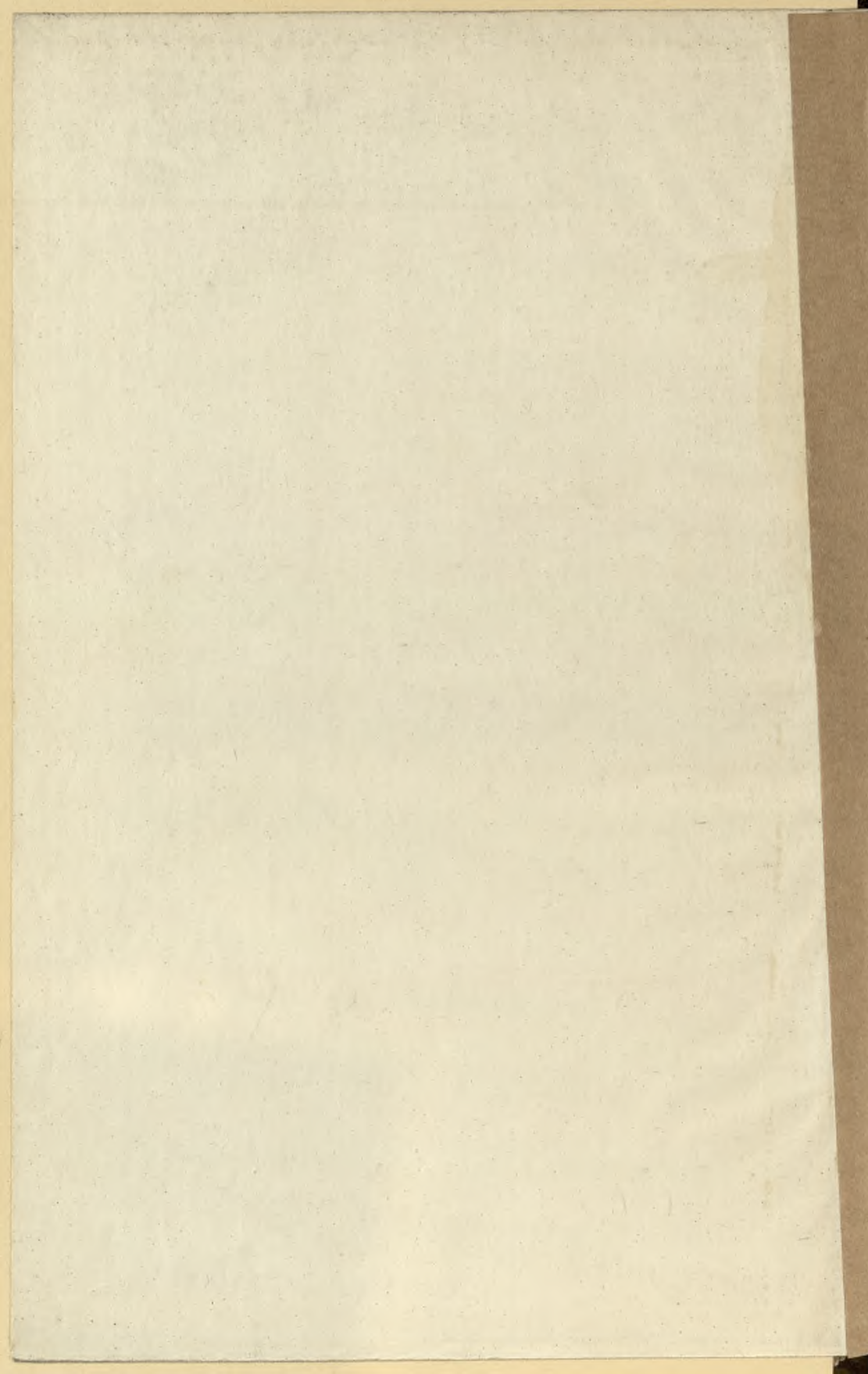
Niemniej dziękuję wszystkim Zaczynym Rodakom, którzy opiekowali się nami i dni naszej niewoli życzliwością Ich skracali.

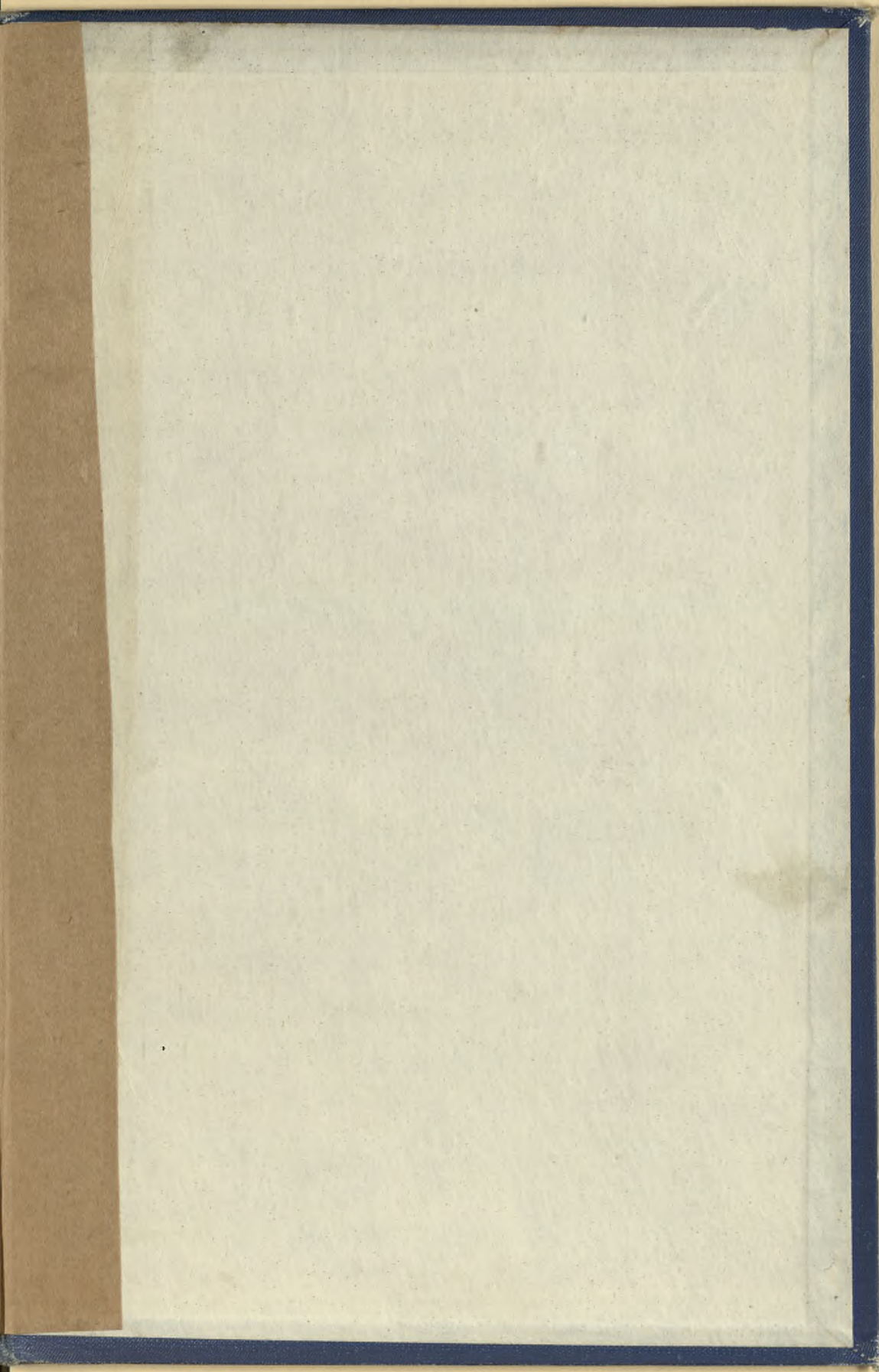
W Bielsku, dnia 3 maja 1925 r.

Autor.









Biblioteka Śląska

C 004016

II

117

Womp.